

W numerze: TERESA WOJCIECHOWSKA *Kariera śpiewaczki* ● ADAM OCHOCKI *Golfy z Afryki*
 ● *Snobizm i Apokalipsa* ● *Broniewski* ● *40 dni w Chinach* ● *Recenzje* ●
Felietony ● *Nowela kryminalna*

odgłosy



9 (745)
 27. II. 1972 r.
 Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XV

W nowej atmosferze

Rozmowa z przewodniczącym
 Łódzkiego Komitetu FJN,
 prof. dr Andrzejem Nadolskim

— Panie przewodniczący, zbliża się decydująca faza kampanii wyborczej do Sejmu PRL. Jak ocenia Pan przygotowania do niej?

— Właśnie na ostatnim posiedzeniu Prezydium zatwierdziliśmy plan spotkań kandydatów na posłów z wyborcami. Będą to spotkania organizowane w największych zakładach pracy, w środowiskach zawodowych oraz miejscach zamieszkania. Nie ilość, lecz jakość spotkań decydować będzie o tym, czy spełnią one pokładane nadzieje. Dlatego komitety FJN tak dużą uwagę przywiązują do właściwego przygotowania spotkań, które powinny być rzeczowe. Czynimy wysiłki, aby każde z nich stało się forum dla wnikliwego naświetlenia udziału konkretnych załóg pracowniczych i środowisk zawodowych w realizacji ogólnonarodowych zadań społecznych i gospodarczych.

Jak dotychczas, sprawnie przebiega akcja sprawdzania spisów wyborców, przygotowywania lokali wyborczych oraz prace związane z rozlicznymi sprawami organizacyjnymi i propagandowymi. W Łódzkim Komitecie FJN uruchomiliśmy punkt informacyjny, w którym każdy może uzyskać odpowiedź na wszystkie pytania, związane z kampanią wyborczą, dostać literaturę i materiał do propagandy wizualnej, czy też zamówić lektora na towarzyszące kampanii wyborczej imprezy.

W spotkaniach z wyborcami, obok kandydatów na posłów do Sejmu PRL, uczestniczyć będą członkowie prezydiów rad narodowych, kierownicy wydziałów oraz inni przedstawiciele administracji państwowej. Także i oni włączą się w nurt dyskusji lub podejmą się wyjaśnienia zagadnień budzących wątpliwości. Nowością w naszym działaniu będzie szybkie rozpatrywanie wniosków i postulatów zgłaszanych w czasie spotkań z wyborcami. Działacze Łódzkiego Komitetu FJN wspólnie z przedstawicielami Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi będą niezwłocznie badać wszystkie uwagi i życzenia, wynikające z dyskusji.

Dalszy ciąg na str. 3



Fot. E. Kudaj

MAREK WAWRZKIEWICZ

Zabawa w kwadraturę koła

LAT temu kilka odbywał się w naszym mieście ogólnopolski przegląd amatorskich zespołów teatralnych. Widzieliśmy tam rzeczy ciekawe i nieciekawe, spotykaliś-

my się z ludźmi zarażonymi pasją czynnego uczestnictwa w kulturze i z ich mecenasami. Ale nie to jest ważne. Każdego przedpłodnia kierownicy zespołów spo-

tykali się z szanownym i dość sędziwym jury, aby wysłuchać sądów i osądów o przedstawieniach z dnia poprzedniego. Jury składające się z weteranów ruchu teatralnego, czyniło głębokie uwagi o inscenizacjach i błędach w nich popełnianych, krytykowało za symbolizm lub naturalizm w grze aktorów - amatorów, wytykało złą dykcję — itd, itd.

I cała ta zabawa toczyła się według reguł ustalonych kilkadziesiąt lat temu. Do czasu jednak. Oto jeden z kierowników — bodajże nauczycielskiego zespołu z Hajnówki — po grzecznym wysłuchaniu wszystkich zastrzeżeń, które wysoka komisja zgłosiła w stosunku do owocu jego pracy, powiedział, że jego te zastrzeżenia zupełnie nie interesują. Na takie dictum zebrani zbarania- li, zaś rezolutny i rozsądny dzia-

łacz wyjaśnił — wśród wrogiego milczenia — dlaczego to światłe uwagi obchodzą go tyle, co zeszłoroczny śnieg. Dlatego mianowicie, że sceniczny „produkt” pracy zespołu był dla niego rzeczą absolutnie drugorzędną, najwyżej zaś cenil sobie pracę codzienną, powszednią: pracę nad zrozumieniem dzieła literackiego, nad wiedzą o epoce, w której to dzieło się rodziło, pracę nad kulturą słowa i inne pochodne od tych zagadnień sprawy. Jest chyba jasne, że niesforna ta wypowiedź została wykleta jako schizma i herezja i wszystko wróciło znów do normy.

Ale ja ciągle sobie myślę, że gdyby takich działaczy, jak ów nauczyciel z Hajnówki, było więcej, to nasz amatorski ruch artystyczny wyglądałby zupełnie inaczej. I dużo zdrowiej.

Dyskusja nad kształtem tego ruchu trwa już od dawna. Czasami nawet pociąga za sobą jakieś zmiany organizacyjne. Rzecz jednak w tym, że są to wszystkie ćwierć — lub półśrodki, zasadniczy zaś model tkwiąc mocno korzeniami w latach międzywojennych egzystuje sobie społecznie tak, jak byśmy nie żyli wiele, wiele już lat po wojnie, w zupełnie innych warunkach politycznych i kulturowych.

Zespoły teatralne i taneczne, estradowe i orkiestrowe. Regionalno - folklorystyczne. Czasami — w zależności od aktualnej mody — teatry poezji, kabarety, grupy big-beatowe. Imię nasze jest milion, potęga. A całe to pospolite

Dalszy ciąg na str. 3



40 dni w Chinach

„ATLANTIC” — BOSTON

Prasa światowa w ostatnich dniach najwięcej uwagi poświęca chińskiej podróży prez. Nixona. Szczegółowo omawia się jego przemówienie przed odjazdem, w którym zresztą nie sformułował żadnej nowej myśli, zamieszcza się liczne komentarze, spekulacje i gubi w domysłach, jaki może być wynik pekińskich rozmów. Dzienniki podkreślają, że nigdy jeszcze w Stanach Zjednoczonych nie było tak wielkiego zainteresowania sprawami Chin, jak obecnie. Zauważa się — i chyba nie bez racji — że podróż prezydenta jest najistotniejszym elementem kampanii wyborczej i stać się może jego największym atutem w rywalizacji o fotel prezydencki. O tym i innych aspektach pekińskiej wizyty Nixona pisaliśmy już na tym miejscu, a w późniejszym okresie, po jej zakończeniu, będzie czas na pełniejszą ocenę. Przejdźmy więc do innych wydarzeń.

Jak wiemy, w NRF ROZPOCZĄŁ SIĘ PROCES RATYFIKACJI układów ze Związkiem Radzieckim i Polską. Na forum Bundestagu odbyło się pierwsze czytanie tych układów. W izbie tej chadecja dysponuje jednym głosem przewagi, z góry więc było wiadomo, że taki też będzie wynik. Większość rządowych przez CDU/CSU krajów zgłosiła zastrzeżenia do układów, a ich katalog 21 głosami (wobec 20 przeciw) przyjęty został przez izbę. Nie ma to wpływu na dalszy bieg procesu ratyfikacyjnego, ujawnia jedynie wszystkie zastrzeżenia opozycji Brandta. Na forum Bundestagu polemizowali z nimi min. Scheel i kanclerz Brandt, teraz opublikowano odpowiedź rządu federalnego na zewidencjonowanych 12 zastrzeżeń. Podkreśla się w niej, że układy z Moskwą i Warszawą w szych najistotniejszych punktach są sformułowane jasno i jednoznacznie. Odpowiedź rządu punktu po punkcie udziela wyjaśnień, odrzucając zastrzeżenia. Będzie ona z pewnością podstawą dyskusji przy pierwszym czytaniu układów w Bundestagu.

Z pierwszych reakcji krajów federalnych, rządowych przez CDU i CSU, wynika, że podtrzymują one swoje uwagi, a odpowiedź rządową uważają za „absolutnie niezadowolającą”.

Batalia o układy rozpoczęła się więc na dobre...

We Włoszech tymczasem podjęto próbę zwłoki z rozpisanem nowych wyborów. W 34 dniu kryzysu rządowego, o którym pisaliśmy obszerniej w ub. tygodniu, powołano jednopartyjny, mniejszościowy rząd chadecji. W zasadzie powinien on sprawować władzę do roku przyszłego, ale jego dni są policzone. Z arytymetyki parlamentarnej wynika jasno, że ani w izbie niższej, ani wyższej nie może on uzyskać większości. W pierwszym przypadku musiałby bowiem zapewnić sobie 316 głosów, a w drugim — 161, podczas gdy może liczyć tylko na 298 głosów w izbie niższej (głosy deputowanych chadecji, liberalów i niemieckojęzycznych reprezentantów Górnej Adugi) i 153 w senacie. Rząd Andreottiego nie ma więc szans na otrzymanie votum zaufania parlamentu.

Znamienne, że w jego skład powołano dwóch przedstawicieli lewego skrzydła tej partii: Aldo Moro, który objął tekę ministra Spraw Zagranicznych i Donata Cattina — na stanowisku ministra pracy. Niektóre agencje skłonne są uznać ten fakt za gotowość chadecji utrzymania kontaktu z jej byłymi sojusznikami centrolewicowymi. Nie zmienia to sytuacji, że koncepcja centrolewicowa ostаточно się załamała.

DWUDNIOWE ROZMOWY prezydenta Pompidou z premierem Heathem, których miejscem była letnia rezydencja premiera brytyjskiego, nie miały w sobie ustalonego porządku dziennego. Obaj mężowie stanu nie zaprosili do nich ministrów czy doradców — dokonywali podobno bardzo swobodnej wymiany poglądów. Co było jej przedmiotem? Problem stosunków ze Stanami Zjednoczonymi, pekińska podróż Nixona, sytuacja EWG oraz stosunki bilateralne.

Prez. Pompidou nie był w W. Brytanii od r. 1966, kiedy to jako premier gen. de Gaulle'a uzasadniał veto francuskie wobec przyjęcia W. Brytanii do EWG. Dopiero w trzy lata później w stosunkach francusko-angielskich nastąpiło ocieplenie. Kolejnym jego elementem była ubiegłoroczna wizyta Heatha w Paryżu, a później — Schumanna w Londynie. Teraz prezydent Francji gościł na wyspie, w maju królowa Elżbieta ma złożyć wizytę w stolicy Francji.

Wizytami, jak termometrem powietrza, można mierzyć ciepłość stosunków między krajami. Nie przeto dziwnego, że wymieniony powyżej kalendarz wizyt oceniany jest jako jednoznaczne dążenie obu stron do „znormalizowania” stosunków. Jego przejawem ma być także współpraca wojskowa. Odżyła znowu idea utworzenia francusko-brytyjskiej siły nuklearnej. Sprawa ta nie stoi uprządkowana na porządku dnia najbliższej przyszłości, ale mówi się o niej coraz częściej. Czy wpisać ją do katalogu faktów, które wzmacniają Europę zachodnią mają ją uniezależnić od Stanów Zjednoczonych? — wykaże przyszłość i to chyba jeszcze nie najbliższa.

Tymczasem odnotujmy, że KONSERWATYWNY RZĄD HEATHA przeformował w Izbie Gmin ustawę wspólnorzykową tylko 8 głosami, w tej liczbie pięćcioma liberalów. Kiedy w październiku ub. roku uważyły się losy wejścia W. Brytanii do EWG — przewaga ta wynosiła 112 głosów. Do jakiego wniosku prowadzi porównanie tych dwóch liczb? Tylko jednego — laburzystowska opozycja szybko umacnia swe wpływy. Z pewnością wpłynęły na to: problem rozejmski, wypadki w Irlandii Północnej, wzrost bezrobocia i nękające W. Brytanię strajki.

W. SŁAWSKI

Moja podróż po Chinach trwała czterdzieści dni. Byłem w siedmiu dużych miastach oraz małych miasteczkach i osiedlach. Fakt, że studiuję problemy polityki zagranicznej oraz zagadnienia oświaty nie przeszkodził mi w obejrzeniu zakładów pracy i komun, szpitali, miejsc historycznych, wsi, w której urodził się i wychował Mao Tse-tung, jak również „rewolucyjnych” oper i baletów.

Najłatwiej obserwować i rozmawiać z ludźmi w swobodnej atmosferze w parku. Niektóre parki w chińskich miastach, np. Pejhaj w Pekinie, zostały zamknięte w okresie „rewolucji kulturalnej” i nie otwarto ich do dnia dzisiejszego. Ale w Nankinie, Park Narodowy, usytuowany wokół uroczego jeziora zapełniona tłumem mieszkańców miasta. Chciałem się wykąpać. Okazało się jednak, że aby mi zapewnić bezpieczeństwo wprowadzono wyjątkowe środki ostrożności. Wysłano więc samochód, by wyszukać ustronne miejsce do kąpiel, z dala od uczesanych alei i drózek. Politywany tym zwróciłem uwagę moim opiekunom, że samotna kąpiel jest niebezpieczna. Na to z przeciwległego brzegu jeziora wezwano motorówki. No, cóż, wszedłem do wody. Z brzegu pilnowała mnie moja straż przybronna, a po wodzie — rozsuwając wokół mnie spalny i sadze — krążyła łódź ratownicza.

W liczbie prowincji, zamkniętych dla cudzoziemców znajduje się Syczuan. Przyjeżdżając do Chin rzadko nadarza się okazja do obejrzenia — według własnego wyboru — zakładu pracy, szkoły, czy komun. Takśówek tu bardzo mało. Dlatego możliwość samotnego poruszania się po mieście jest ograniczona. Hotel „Pekin” stał się swego rodzaju miejscem odoświeżenia. W pobliżu nie ma postojów takśówek. Samochód trzeba wezwać telefonicznie i powiedzieć, dokąd się jedzie. Toteż nie dziwnego, że mój cicerone zawsze wiedział o moim powrocie do hotelu. Gdy tylko pojawiłem się w pokoju, zaraz telefonował, by omówić kolejny punkt programu zwiedzania miasta. A jednak czasami udawało mi się zmylić czujność moich opiekunów. Była mi w tym pomocna znajomość języka chińskiego. Jeden Chińczyk odmawiał nawet najbardziej konwencjonalnej wymiany zdań, inni, przeciwnie, gawędzili z ochotą. Towarzyszący mi Chińczyk chodził ze mną do pekińskich restauracji. Byłem także w prywatnych mieszkaniach w Szanghaju, wybranych na chybił-trafił. Osobistości oficjalnie pozwoliły mi na zwiedzanie miejsc, w których nie wolno byłoby mi cudzoziemcom, ani nawet Chińczykom.

Któregoś dnia przechadzałem się po jednej z ulic w centrum Szanghaju, szukając antykwariatu. Okazało się, że nie uchroniłem się od niego. Ich dawne pomieszczenia służą innym celom. Na przykład w byłej księgarni „Literatura zagraniczna” sprzedaje się teraz wyroby włókiennicze. W niektórych można kupować wyłącznie nowe książki, a sklepy, w których kupowało się niegdyś stare książki — są zamknięte. Niedaleko znajduje się wycieczny chiński hotel, w którym nigdy nie zatrzymują się cudzoziemcy.

Na wewnętrznej stronie drzwi wejściowych zauważyłem hieroglifami wypisane ostrzeżenie: „Wychodząc sprawdź portfel i pieniądze”. Nie powinno to dziwić — złoździejstwo w Chinach jest takie samo, jak wszędzie.

Po drugiej stronie ulicy prowadzono prace ziemne. Buduje się tutaj schrony, przeciw-

lotnicze, nieraz szeroko rozbudowane. Niewielkie, potężne drzwi, umieszczone w pobliskich sklepach, dobrze znanych w okolicy, służą jako wejścia do podziemia.

Ulice nad rzeką zatłoczone ludźmi do granic możliwości, a samochody ciężarowe co minutę zwożą ich coraz więcej i więcej. Podchodzę bliżej i pytam, dlaczego gromadzi się tutaj takie mnóstwo ludzi? Pytani chętnie odpowiadają: „Żeby powitać zagranicznych gości”. Zaczynam się zastanawiać i przypominam sobie, że w Chinach gości teraz delegacja francuska i że wkrótce powinna również przyjechać grupa Koreańczyków. Ale ci wszyscy ludzie, którzy przybyli tutaj, by witać cudzoziemców, nie podzielają mojej ciekawości. Zadna spośród dzieciści, czy nawet więcej, indagowanych przeze mnie osób nie wie nawet, kto przyjechał i w ogóle tym się nie interesuje.

Niekiedy odczuwałem przyjazny stosunek władz chińskich. Niemniej uważały one, iż przekraczam dozwolone granice, gdy chcę się zmieszać z tłumem. Aby mnie w tym pohamować, uciekano się do przeróżnych wybiegów. W przerwach występów baletu, czy widowisk cyrkowych wprowadzano mnie szybko do sąsiednich, specjalnie przygotowanych, apartamentów, gdzie musiałem się zanudzić w towarzystwie moich opiekunów.

Najbardziej rzuca się w oczy duża ilość wojskowych. W porcie lotniczym w Kantonie, podczas długich godzin oczekiwania, aż uciechnie większość burwy, zwróciłem uwagę, iż większość pasażerów stanowią wojskowi. Pracują w fabrykach i w zakładach naukowych. Przewodniczący „Rewolucji” w pekińskiej rafinerii nafty przyznał, że nigdy nie uczył się w szkole. Wszystko co umie, zawdzięcza „wielkiej szkole armii”. Teraz kieruje fabryką, w której pracuje dziesięć tysięcy robotników. Inny oficer Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej (Ch. A. L. — W.) wyznał, iż nie ma pojęcia o medycynie, a przecież kieruje w Pekinie szpitalem, w którym leczy się metodami tradycyjnej medycyny chińskiej. Powiedział mi pewien pracownik tego szpitala, że pierwszą rzeczą, którą zrobił nowy kierownik, było poddanie się doświadczeniom, by personelowi lecznicy dać przykład ofiarnego wykonywania obowiązków. W ciału wbito mu igły, szukając korzonka jakiegos nerwu. Tą drogą ujęczy wytrzymałość na wskazówki Mao: „Cały kraj powinien się uczyć w Ch.A.L.-W.”

Udało mi się spotkać z jeszcze jednym oficerem — nowym ministrem handlu zagranicznego. Bai Sian-ho jest człowiekiem praktycznym, orientującym się w polityce handlowej. W rozmowach z kontrahentem nigdy nie używa słowa „kapitalizm” i nigdy nie mówi o Mao. Bardzo uprzejmy, ale nieustępliwy w sporach. Bai Sian-ho był w uniformie wojskowym bez oznak stopnia i cały czas w czapce na głowie. (Nie zdjął jej nawet podczas mego spotkania z Czou En-laem, na którym był obecny przez cały czas, ale nie wyrzekł słowa).

W 1964 roku zostałem przyjęty przez dyrektora pekińskiej biblioteki, liczącej 7 milionów tomów i czytałem niektóre ze znajdujących się tam książek. Byłem także na nabożeństwach w kościołach w Kantonie i w Pekinie i nawet przeprowadziłem wywiad z Szao Fu-sanem, głową chińskich protestantów. Tym razem było to niemożliwe. Biblioteka publiczna i muzeum są zam-

knięte. Kościoły również, a na drzwiach widnieją hasła polityczne. Działalność organizacji religijnych została „wstrzymana”, a wyznawcy kultów przechodzą kolejny kurs „walki, krytyki i reedukacji”. Szao Fu-san „był nieobecny”.

Pewnego razu rozmawiałem o aktualnych tendencjach w Chinach z pewną osobistością oficjalną, zajmującą dostatecznie wysokie stanowisko, by mogła głośno wypowiadać swoje zdanie. Rozmawialiśmy przez bite trzy godziny. Pan X.Y. — nie mogę wymienić jego nazwiska — spytał mnie wprost: „Co pan sądzi o propagandzie?” Nie bardzo wiedząc, co ma właściwie na myśli, bąknąłem coś wymijającego. „Myślę, że jest okropna” — powiedział marszcząc się. — „Jest chępliwa. Ma mnóstwo przymiotników i przysłówków. Niech pan weźmie choćby te eksponaty w Szaozhan (miejsce urodzenia Mao). Przeholowano z tym”. I później: „Dlaczego okazała się konieczna ekspozycja o tematyce bomby atomowej? Czy jedynym celem rewolucji jest skonstruowanie bomby? Zresztą, wie pan, teraz już nie jest tak źle, jak było”.

I to chyba prawda. Gigantyczne pomniki Mao w wielkości zniknęły z Pekinu i innych miast. Jego zdjęcie nie widnieje już na okładce codziennego biuletynu informacyjnego agencji Sinhua. „Czerwona księżyczka” ustąpiła miejsca innym książkom. Zabrano w zakładach pracy i w komunach nie zaczynają się już i nie kończą obowiązkowym odczytywaniem sentencji Mao, jak to miało miejsce w czasie „rewolucji kulturalnej”.

Po lodowatej atmosferze „rewolucji kulturalnej” pojawiają się pierwsze oznaki życia kulturalnego. Powiedział mi o tym podczas kilkugodzinnej rozmowy zastępca przewodniczącego Ogólnochińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych, prezydent Akademii Nauk — Ho Mo-žo. Przyznał on, że „rewolucja kulturalna” wywarła niekorzystny wpływ na prace badawcze. Wprawdzie naukowo-techniczne wydziały Akademii nigdy nie przerwały prac badawczych, ale na przykład działalność wydziałów humanistycznych i nauk społecznych w okresie „walki, krytyki i reedukacji” zamarla zupełnie. W nauce języków obcych kładzie się nacisk na języki w kolejności ich znaczenia: na angielski, francuski, niemiecki, arabski i hiszpański. Sam Mao — powiedział mi Ho Mo-žo — daje przykład. Przy swoich 78 latach uczy się języka angielskiego. Specjalną przyjemność sprawia mu powtarzanie takiego połączenia słów, jak „prawo i porządek”.

Obecnie modna jest w Chinach krytyka „ultralewaków”. Ludzie, będący wczoraj bronią, stali się dziś tarczą, do której się strzela. Wiatr się zmienił, może dlatego, że „rewolucja kulturalna” rzekomo „zakończyła się sukcesem” i obecnie nadzedł czas powrotu do codziennej pracy, a może dlatego, iż „linię rewolucji kulturalnej” uznano za utopijną i teraz należy ją zmienić na linię odbudowy partii.

Gdy w zakładach pracy podaje się krytyce „ultralewaków”, to adresuje się ją najczęściej do studentów. Jest to szczególnie widoczne w małych miastach. „Oni nie mieli doświadczenia”, „Dali się łatwo oszukać”, „Wrogle elementy pchały ich do skrajności” — w ten sposób mówi się o „ultralewakach”.

W skali kraju ton tej kampanii nadała rozprawa z „czerwonym dyplomatem” Jo Den-szanem. Jo był obwiniony o podpalenie brytyjskiej ambasady w Pekinie w 1967 r. Nie było to jednak jego jedynym przestępstwem. Jo trzymał rzekomo w areszcie samego Czou En-laia w okresie burzliwych wydarzeń „rewolucji kulturalnej” i kierował przez kilka tygodni ministerstwem spraw zagranicznych. Podczas rozmów z mną Chińczyk nie przepuścił ani jednej okazji, żeby nie poddać tych ekcesów ostrej krytyce.

Kilka słów o problemach oświaty. Byłem w sześciu uniwersytetach, w szkołach średnich w Pekinie, Si-an i w Kantonie, oraz w niektórych innych zakładach naukowych. W szkołach, a głównie na uniwersytetach, przeprowadza się szeroko zakrojone „eksperymenty”. W Instytucie Komunikacji w Si-an studenci młodzieńcy pszenicę. W średniej szkole przy pekińskim Instytucie Pedagogicznym dziewczęta robiły krzesła. W sąsiedniej sali, chłopcy, którym pomagali robotnicy z pobliskiej fabryki, pracowali nad „półprzewodnikami”. W uniwersytecie Sun Jat-sena w Kantonie zastalem pewnego profesora przy pracy w ogrodzie warzywnym.

Jeżeli kandydat na wyższą uczelnię jest „przygotowany politycznie” i cieszy się dobrą opinią miejscowych organów władzy, to nie musi mieć ukończonej szkoły średniej. W porównaniu z minionym okresem, liczba studentów w wyższych uczelniach zmniejszyła się bardzo znacznie. W Uniwersytecie Pekińskim studiowało przed „rewolucją kulturalną” 9 tysięcy osób; we wrześniu 1970 roku — 2.667. Na uniwersytecie w Szanghaju uczyło się przedtem 9 tysięcy studentów, dziś jest ich zaledwie 1.196. W Instytucie Pedagogicznym w prowincji Honan do „rewolucji kulturalnej” studiowało 6 tysięcy osób, teraz — 440. W konsekwencji, na wyższych uczelniach jest więcej wykładowców niż studentów. Nie działają żadne organizacje studenckie. Program studiów skrócono. Na uniwersytecie w Sinhua studia trwają — zamiast sześciu — dwa lub trzy lata. Na uniwersytecie Sun Jat-sena kurs matematyki połączono z dynamiką, fizyką i elektroniką. Na Uniwersytecie Pekińskim okrojono program historii i studia obejmują wyłącznie historię XIX i XX wieku. Połowę czasu przeznaczono na naukę spędzającą studenta poza salą wykładową, wykonując prace fizyczne i „dzieląc się doświadczeniami z narodem”. Egzaminów już nie napędzają strachu, w każdym razie nie studentom. Często nie odbywają się w ogóle. Pytania przygotowuje się przy udziale studentów, a egzamin traktuje się jako sprowadzanie wiadomości zarówno studentów, jak i samych wykładowców. Absolutnie uniwersytetów nie otrzymują dyplomów, a co najwyżej świadectwa z pisemną opinią wykładowcy i niektórych kolegów — studentów.

W Uniwersytecie Pekińskim poznałem profesora historii Czou I-liana, który studiował na uniwersytecie Harvardzkim w USA. Jego specjalnością naukową był buddyzm, teraz wykłada historię Azji. Jest w grupie naukowców opracowujących nowy podręcznik do nauki historii współczesnej. Ponieważ na razie takiego podręcznika nie ma, wyższe uczelnie nie mogą wznowić nauki historii współczesnej. Studenci profesora Czou I-liana „uczą się” w pobliskiej kopalni. Jeden dzień w tygodniu pracują jako prości górnicy, studując jednocześnie „historię kopalni”. W 90-tych latach ubiegłego stulecia należała ona do Amerykanów, następnie do Belgów i wreszcie do Anglików. Każda z trzech grup studenckich wybrała inny, specjalny temat „badań”. Jedna śledzi historię walki strajkowej w kopalni, druga — historię przymuszania dzieci do pracy, trzecia — napisała biografię robotnika-weterana i jego rodziny.

Na uniwersytecie w Fudan spytałem profesora literatury chińskiej, Lu Da-ce, jakie zasadnicze zmiany zaszły w programie dydaktycznym jego wydziału. „Mój podręcznik został wyrzucony” — odparł profesor, mając na myśli swoją obszerną, trzytomową pracę pt. „Historia rozwoju literatury chińskiej”.

Profesor biologii, Fu, z uniwersytetu im. Sun Jat-sena, powiedział mi: „Wszystko to są eksperymenty... Co będzie dalej, nie wiadomo”.



Zabawa w kwadraturę koła

Dalszy ciąg ze str. 1

ruszenie artystyczne, nastawione jest na „wyczyn sceniczny”, na eliminacje, konkursy, festiwale, na zdobywanie miejsc, punktów i laurów. Czasem cel wycieca jakas wielka rocznica, czasem inna okazja. Ale final, do którego się zmierza — zawsze pozostaje ten sam: występ publiczny. Cwierć wieku temu premiera amatorskiego zespołu teatralnego w małym miasteczku mogła być wydarzeniem kulturalnym. Koncert zespołu regionalnego mógł być próbą ratowania od zapomnienia rodzimego folkloru. Występ amatorskiej estrady mógł określić społeczność — wzbogacić intelektualnie i artystycznie. Ale my żyjemy w latach 70-tych. To są lata, w których odległość się błyskawicznie kurczy. Już się skurczyły. Dziś z małego miasteczka i ze wsi zupełnie już blisko do wielkomiejskiego teatru, do sali koncertowej. Dziś teatr i zespół muzyczny wędrują w ten głęboki teren, aby znaleźć sobie tam nowego widza i odbiorcę. Dziś radio i telewizja dostarczają — hipotetycznie — najlepszych wzorów artystycznych, są naprawdę powszechnymi przekaznikami kultury. Są to rzeczy ogólnie znane i, zdawałoby się, wszyscy o nich wiedzą. Tak, ale np. sternicy amatorskiego ruchu artystycznego z wiedzy tej nie wyciągają żadnych wniosków praktycznych. Dla nich zawsze najważniejszy jest produkt finalny — występ na scenie, najczęściej nie pozostający w żadnym stosunku do wzorami, które się zbliżyły do odbiorcy na odległość ręki. Dla nich najważniejsze jest miejsce zajęte na eliminacjach. Oni nie słyszeli o wychowawczo tak szkodliwej, a tak popularnej wśród młodzieży ideologii natychmiastowego sukcesu, który się tej młodzieży najłatwiej przyszczepia umożliwiając im złudne brylowanie na scenie. Oni oczywiście nie wiedzą o tym, że podstawowym założeniem i warunkiem upowszechnienia prawdziwej kultury jest wychowanie inteli-

gentnego, wrażliwego odbiorcy. Konsumenta — nie zmanierowanego prowincjonalnym pseudosukcesem artysty — amatora. I ten stań rzeczy, ta zabawa w kwadraturę koła będzie trwała dopóty, dopóki główny ciężar pracy amatorskiego ruchu artystycznego nie przeniesie się z występu publicznego na zupełnie inny rodzaj pracy — zgodna, że mniej efektywnego, ale za to o wiele bardziej potrzebnego: na to wszystko, o czym mówił wcale nie ideolog kultury masowej, a działacz społeczny — rzecznik wyżej nauczyciel z białostockiego.

Trzeba tu ze smutkiem stwierdzić, że niewspółczesnemu, niczemu nie służącemu i wręcz anachronicznemu modelowi amatorskiego ruchu artystycznego wiernie towarzyszy wielu doradców, ideologów i mecenasów. A ten wspólny społeczny marsz ku absurdowi nie polega tylko na platonicznej sympatii. Mecenas — instytucje i organizacje społeczne, topią w tym absurdzie bardzo grube pieniądze. Nasze pieniądze. A ich przedstawiciele są gotowi do walki o swoje idee.

I w związku z tym żywo działają folklorystyczne zespoły chóralno-taneczne, tam, gdzie folklor zupełnie nie istnieje. Niech koronnym przykładem na to będzie nasze miasto.

I w związku z tym, jak grzyby po deszczu, powstają zespoły teatralne (prowadzone — notabene — przez tych samych zawsze instruktorów, prawdziwych tytanów pracy, dzielących czas i energię na twórczość reżyserską w dwóch lub trzech zespołach naraz). Zespoły powstają w klubach, domach kultury, świetlicach przyzakładowych — a do prawdziwych teatrów młodzież robotnicza i studencka jak nie chodziła, tak nie chodzi.

I w związku z tym mury klubów i świetlic drżą od elektrycznych gitar i głosów spotęgowanych przez mikrofony i wzmacniacze. I rozwija się, rozpowszechnia kultura muzyczna. Tyle, że do filharmonii się w dalszym ciągu nie uczęszcza.

Ala mecenasowie nie zwracają uwagi na te ogólne zjawiska. W związku z tym znów przeczytamy ogłoszenie, że w jakimś klubie odbędą się eliminacje do amatorskiego teatru. Eliminacje — to znaczy będzie się sprawdzać, kto się nadaje do amatorskiego interesowania się sztuką, a kto nie. Pan by tego nie wymyślił, panie Ionesco.

Dla mecenasów najważniejsze są wykazy i statystyki: o, proszę, w naszym mieście, w naszym województwie działa tyle to a tyle zespołów i skupiają one łącznie... Dla mecenasów ważne są produkty finalne.

U schyłku ubiegłego roku odbył się w ramach II Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych ogólnopolski przegląd teatrów estrady i kabaretów. Była to naprawdę autentyczna groza. Oglądałem program muzyczny, w którym orkiestra i soliści nie zagrali i nie zaśpiewali czysto ani jednej nuty. Oglądałem kabarety, w których nie było ani jednego pomysłu, ani jednego dowcipu, natomiast roilo się od wyglupów i trywialności.

Owoce tych wielodniowych zmagani artystycznych zapisywałem na taśmie magnetofonową. I z wielkim wysiłkiem ze stosu taśm mogłem wybrać dla celów antenowych około 15 minut czegoś, co nadawało się do słuchania. Radiofonii polska nie takie kłęski przeżywała, więc może nie warto o tym wspominać. Ale ja te imprezy muszę przeliczać na państwowe i społeczne pieniądze.

Każdy z zespołów tu występujących miał sprzęt — czasem b. kosztowny — sala, w której się przygotowywał, a która też kosztowała, instruktora, który pobierał wynagrodzenie, członkowie otrzymywali pewnie jakieś diety, ktoś płacił za hotele, przejazdy... A przecież było to tylko kilkanaście zespołów z kilkuset, które działają na terenie całego kraju! I wszystkie one uprawiają radośną twórczość artystyczną z podobnymi rezultatami. Czy naprawdę jesteśmy krajem aż tak bogatym, żeby sobie pozwolić na ten absurd, na tę kwadraturę koła? Czy w wyniku tak pojętego ruchu amatorskiego jeszcze przez lata mamy biadolić nad faktem, że nie umiemy przygotować konsumenta prawdziwych wartości kulturalnych? Czy stać nas na takie anachronizmy? Czy stać nas na brak pomysłów zmierzających do odnowienia, do zupełnego przeorganizowania amatorskiego ruchu artystycznego?

Jestem głęboko przekonany, że w cyklu zmian i przemian trzeba się też zająć zburzeniem starych szablonów i w tej, tak ważnej dziedzinie życia społecznego.

MAREK WAWRZKIEWICZ

W NOWEJ ATMOSFERZE

Dalszy ciąg ze str. 1

Słuszne i uzasadnione — skieruje się od ręki do kompetentnych organów, w celu podjęcia ostatecznej decyzji. Pragniemy, aby te wnioski i postulaty, które są trafne i realne, mogły być załatwiane na bieżąco. Sądzymy, że jest to najlepsza droga do pogłębienia zaufania do organów władzy oraz rozwoju inicjatyw społecznych.

— Podstawowym elementem kampanii wyborczej jest uznanie uchwały VI Zjazdu partii za platformę wyborczą Frontu Jedności Narodu. Jak należy ocenić takie stanowisko?

— Sądzę, że wszyscy Polacy oceniają stanowisko Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu, uznającego w Deklaracji Wyborczej FJN uchwałę VI Zjazdu partii za platformę wyborczą FJN — za najbardziej właściwe i jedynie słuszne. Uchwała VI Zjazdu PZPR jest wynikiem wspólnych myśli, odczuć i pragnień milionów ludzi pracy — robotników, chłopów, inteligencji, członków partii i stronnictw politycznych, organizacji społecznych i obywateli bezpartyjnych. Z oficjalnych źródeł wynika, iż głosy obywateli bezpartyjnych stanowiły przeszło połowę wszystkich wypowiedzi w dyskusji przedzjazdowej. W ten sposób stała się ona wykładnią ogólnospołecznej opinii i woli obywateli Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Te właśnie okoliczności wziął pod uwagę Ogólnopolski Komitet FJN, słusznie traktując dorobek VI Zjazdu PZPR, jako ogólnonarodowy program pomyślnego rozwoju wszystkich dziedzin naszego życia państwowego i obywatelskiego. Realizacja tego programu zależy od każdego z nas.

— Jak określiłby Pan główne zadania polityczne, stojące przed komitetami Frontu Jedności Narodu w kampanii wyborczej?

— Do najważniejszych zadań politycznych obecnej kampanii wyborczej do Sejmu PRL zaliczyłbym: uzyskanie powszechnej aprobaty dla programu nakreślonego na VI Zjeździe PZPR i Deklaracji Wyborczej Frontu Jedności Narodu oraz wybór najodpowiedniejszych kandydatów do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Powszechny udział w głosowaniu w dniu 19. III. 1972 r. oraz oddanie głosów na kandydatów z listy FJN będzie politycznym poparciem dla programu dalszego budownictwa socjalistycznego. Jest wspólnym zadaniem nas wszystkich, aby wzrost aktywności społeczno-politycznej i towarzyszący mu klimat twórczej pracy były wykorzystane dla realizacji planowych zadań społeczno-gospodarczych, wynikających z perspektywicznych i wycinkowych zadań na rok bieżący.

— Jakie problemy zajmą czołowe miejsce w kampanii wyborczej?

— Kampanię wyborczą traktujemy rzeczowo i konkretnie. Nie chodzi przecież o dyskusowanie wszystkiego od nowa. Wiemy, co chcemy osiągnąć i dokąd zmierzamy. Wiemy również, na co państwo nasze stać w ciągu najbliższych lat.

Z tych względów dyskusja toczyć się będzie przede wszystkim nad formami i metodami wykonania konkretnych zadań w określonych warunkach zakładów i środowisk zawodowych, na każdym stanowisku pracy. Słowem, dążymy, aby kampania wyborcza posłużyła nie tylko do przedyskutowania problemów politycznych i społecznych kraju i miasta, ale przede wszystkim do wypracowania sposobów lepszego, szybszego i skuteczniejszego realizowania programu rozwoju naszego regionu, zakładu pracy czy instytucji, w tym także przyspieszenie realizacji wniosków, zgło-

szonych przed VI Zjazdem PZPR.

Chcemy w stosunkowo krótkim czasie doprowadzić do wydatnej poprawy w zaspokajaniu najważniejszych potrzeb społecznych. Osiągnięcie tego zadania jest bardzo trudne, ale całkiem realne. Dlatego bardziej niż kiedykolwiek cenne jest pobudzanie i wykorzystanie inicjatywy w dziedzinie produkcji przemysłowej i rolnej nauki, techniki i organizacji. Dotyczy to również handlu i usług, oświaty i wychowania, ochrony zdrowia i wycozynku, a także rozległej strefy pracy administracyjnej. Wiadomo przecież, że wszelka cenna myśl i inicjatywa powinny być nie tylko ujawniane, ale włączone w żywy obieg społeczny.

— Pod jakim kątem zostali dobrani kandydaci na wspólne listy Frontu Jedności Narodu?

— Wspólne listy kandydatów na posłów kształtowały się w szerokiej konsultacji PZPR i stronnictw politycznych, z ludźmi pracy naszego miasta. Wszyscy kandydaci, którzy znaleźli się na listach Łódzkiego Komitetu FJN są doskonale znani ze swej wzorowej pracy zawodowej, pozytywnej postawy społecznej i aktywności politycznej. Jest oczywiste, że dla autorytetu najwyższego organu przedstawicielskiego — Sejmu — dla jego roli i pozycji, a także sprawności funkcjonowania, olbrzymie znaczenie posiadają wiedza i doświadczenie, cechy charakteru i walory osobiste poszczególnych mandatariuszy. Łódzki Komitet FJN na swym posiedzeniu w dniu 11 lutego potwierdził, że jego zdaniem, kandydaci Łodzi wszystkie te przymioty posiadają. To jest jedna strona zagadnienia.

Z drugiej strony zdajemy sobie doskonale sprawę, że kandydaci na posłów, jako działacze państwowi i polityczni, muszą posiadać szerokie horyzonty polityczne. Po decyzjach VII i VIII Plenum KC PZPR dokonano wielu zmian na kierowniczych stanowiskach w partii, stronnictwach politycznych, organizacjach społecznych i rządzie. Powstała konieczność poczynienia odpowiednich zmian także i w składzie Sejmu — najwyższego przedstawicielskiego organu władzy państwowej. Chodzi o niezbędne odnowienie jego składu i większą reprezentatywność społeczną. Sądzymy, iż kandydaci z listy Łódzkiego Komitetu FJN mają wszelkie kwalifikacje, by zająć miejsce w nowym Sejmie. Potrafią użyć swego mandatu dla realizowania programu sformułowanego przez VI Zjazd PZPR. Potrafią również dobrze reprezentować interesy naszego miasta.

Przed nowym Sejmem, który wybierzemy w dniu 19 marca 1972 r. staną, jak wiadomo, bardzo odpowiedzialne i wależne zadania. Niezależnie od obowiązków wcielenia w życie programu VI Zjazdu PZPR i kontrolowania przebiegu prac z tym związanych, będzie też on musiał przekształcić w rzeczywistość szereg innych dyspozycji politycznych, jak chociażby: zmiana Konstytucji, reforma ustawy o radach narodowych, uchwalenie Kodeksu Prawa Pracy itp. Poważna rola odegra tu niewątpliwie metoda konsultowania projektów ważniejszych ustaw, zapoczątkowana już w ostatnim roku pracy Sejmu V kadencji. Na tym odcinku komitety FJN będą ściśle współdziałać z posłami, których obdarzymy naszym zaufaniem.

W imieniu Łódzkiego Komitetu FJN wyrażam głębokie przekonanie, że wyborcy naszego miasta wezmą gremialny udział w wyborach i oddadzą swoje głosy na kandydatów przez nas przedstawionych.

Rozmawiał: W. STOKOWSKI

str. 3

Listy do redakcji

SZANOWNA REDAKCJO!

Łódź dn. 27. I. 1972

SZANOWNY

PANIE REDAKTORZE!

Artykuł K. Badiaka pt. „Kardas Story” („Odgłosy” nr 472) przeczytałem z wielką uwagą i wniosłem, jaki mi się nasunął, pozostał ten sam, z jakim spotkałem się dwa lata temu, to znaczy — piotrkowska żałyłość kumoterska jest nie do pokonania. Nie do wszystkich jeszcze ludzi, którzy posiadają w mieście władzę, dotarły Wytyczne VI Zjazdu naszej Partii. Może dość surowo oceniam ludzi zajmujących jeszcze wysokie stanowiska w mieście, ale, o ile odważam się tak pisać, to mam ku temu podstawy.

Jak można sobie wytłumaczyć opisane fakty w raporcie K. Badiaka? Czy taki lekarz powinien wykonywać swój zawód? Chyba lepiej byłoby, żeby znalazł dla siebie inną pracę, np. gdzieś w bibliotece przenoszenie inkunabułów. Na pewno dla naszej medycyny nie byłoby szwankiem, gdybyśmy lekarzy w osobie Krzysztofika odsunęli od wykonywania pracy lekarskiej. Przykro i szkoda, że tam „wyżej” znalazł zwolenników. Wydaje mi się, że ludzie, którzy pomagają mi, są tacy sami jak on.

Wyrządzona Kardasowi krzywda jest nie do pozdroszczenia. Ludzie pozostają artykulem, pokomentują i zapomną. A fakt dla pokrzywdzonych niezmym innym nie pozostaje, jak pogodzić się z brudną rzeczywistością.

Jeżeli tak twierdzą, to tylko dlatego, że sam przeżyłem podobną sprawę. Mianowicie straciłem swój największy skarż — życie mojej córki. Przyczyną śmierci była nauczycielka, co zostało udowodnione przez specjalnie powołanych biegłych pedagogów, prokuraturę w Piotrkowie Tryb., tylko nie było podstaw ukarania nauczycielki. Pomiędzy „Polityką” (nr 2070) w artykule W. Grocholi „Porzeczby są w niedzielę” odkryła i ujawniła kulisy niesłusownego postępowania nauczycielki, żadna z władz nie zareagowała, ażeby sprawiedliwości stało się zadość. Nawet p. Kurator, inż. Wachnik, nie raczył do dzisiejszego dnia odpowiedzieć, jakie ostatecznie wnioski zajęła komisja dyscyplinarna w stosunku do nauczycielki.

MIECZYSLAW PIREK
Piotrków Tryb.

W numerze 5 „Odgłosów”, sygnowanym datą 30. I. 1972 r., przeczytałem z dużą uwagą list p. Włodzimierza Zolędowskiego — poświęcony zasługom dla Łodzi docenta Anny Rynkowskiej.

Solidaryzując się w pełni z meritum emfaticznych konkluzji Szanownego Epistolografa, pragnę jednak zwrócić mu uwagę, że autorem przedmowy (rzeczywiście zasługującej na to, by „egzemplarz poszedł nawet do Gdanska” ze względu na jej wysokie walory literackie, poznawcze i publicystyczne) do albumu Wacława Kondka „Ulica Piotrkowska” jest nie docent Rynkowska, lecz, jak łatwo sprawdzić na karcie tytułowej, znany pisarz łódzki i także entuzjasta przeszłości i teraźniejszości Łodzi — Tadeusz Chróścielewski.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

(—)
Tadeusz Mrozowski
kierownik Redakcji
Literatury Pięknej
Wydawnictwa Łódzkiego

★ * ★

SZANOWNY

PANIE REDAKTORZE!

W dodatku niedzielnym „Dziennika Łódzkiego” — „Panorama” nr 25 (7306) z dn. 23. I. 1972 w ramach trójgłosu pod wspólnym tytułem „Różne imiona pisarstwa” — na temat rozwoju życia literackiego Łodzi — zabrał głos dyrektor Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego — pan Edward Szuster.

Dyrektor Szuster oceniając bardzo pozytywnie zasługi na tym polu kierowanej przez siebie placówki wypowiada m. in. taki sąd: „Niektórzy moi koledzy literaci uważali i dziś uważają, że najistotniejszą z punktów widzenia ich zainteresowań jest możliwość wykorzystania telewizji dla publiczności ich twórczości pozatelewizyjnej. Takie stanowisko ujawniają do dziś”.

Z kontekstu całej wypowiedzi, której nie będę tu przytaczał, wynika, że jest to, jego zdaniem, „punkt widzenia” najzupełniej błędny.

Przykro mi, że muszę zwrócić Dyrektorowi Szustrowi uwagę, że „publicyści” (!) twórczości pozatelewizyjnej (a więc podstawowych i trwałych rodzajów pisar-

stwa) — o ile reprezentują one istotniejsze wartości artystyczno-poznawcze i ideowe — jest niezmiernie istotnym zadaniem wszystkich instytucji upowszechniających. I to nie ze względu na prywatne „zainteresowania” twórców, lecz — dla dobra kultury narodowej.

Rozumieją to dobrze koledzy — nieliteraci p. Szustra, dyrektorzy innych ośrodków telewizyjnych w kraju i wprowadzają do programu ogólnopolskiego omówienia wybitniejszych książek powstałych w danym środowisku pisarskim, wywiady z autorami, dbają o prezentację miejscowych osiągnięć w dziedzinie „kronice kulturalnej” etc. etc.

Tadeusz Chróścielewski

★ * ★

27. I. 1972 r.

SZANOWNY

PANIE REDAKTORZE!

Jestem stałym czytelnikiem „Odgłosów” i dlatego zwracam się do Pana Redaktora w sprawie bardzo dla mnie ważnej, a którą to od kilku już lat nie mogę załatwić.

Jestem rzemieślnikiem i prowadzę warsztat szewski, w którym wykonuję wyłącznie usługi w zakresie wszelkich napraw obuwia. Warsztat 3 mieści się przy ul. Nowotki 3 w suterenie. Suterena ta ma 9 m kw. Nie dociera do niej światło dzienne. Wejście do niej jest okropne ze względu na wiecznie walęsające się tu „piwośzy” i bywałców kawiarzy „Marysińska”. Sama praca w warsztacie tak małym i do tego bez światła dziennego jest bardzo wyczerpująca, zważywszy że pracuję sam i muszę pracować nieraz do 16 godzin. O tym, bym mógł przyjąć ucznia, nie może być mowy, ze względu na ciasnotę.

Swego czasu zwracałem się do Wydziału Kwaterunkowego PRN w Łodzi o przydzielenie mi jakiegokolwiek lokalu, który poprawiłby choć trochę warunki mojej pracy. Próby moje nie zostały uwzględnione. A ostatnio, gdy zwracałem się po raz wtóry do Wydz. Kwaterunkowego, otrzymałem odpowiedź, że Wydział nie dysponuje wolnymi lokalami. Odpowiedź ta wydała mi się co najmniej dziwna, gdyż osobiście wiadome mi jest, że lokale takie się znajdują, na dowód czego, podaję jeden adres wolnego lokalu, który mieści się w Łodzi przy ul. Nowotki 2. Lokal ten od 3 lat stoi nie wykorzystany, a dawny właściciel tego lokalu, także szewc, który prowadził tam pracownię szewską, ostat-

nio już jej nie prowadzi a to z tej przyczyny, że wyrokiem sądu odsiaduje wyrok.

Mając przydzielony lokal, miałbym możliwość przyjąć uczniów, co w dzisiejszym okresie, kiedy brak rzemieślników jest bardzo odczuwalny, miałoby i swoją dobrą stronę. Liczba uczniów, szkolących się w rzemiośle szewskim stale zmniejsza się, co można sprawdzić w Cechu Rzemiosł Skórzanych, który ciągle apeluje do mistrzów szewskich o przyjmowanie uczniów do nauki zawodu.

Zaznaczam także, że dyplom mistrzowski posiadam. Przez cały okres mojej 15-letniej pracy w warsztacie, nie miałem żadnej skargi ani też zażalenia złożonego przez klientów w Cechu Rzemiosł Skórzanych.

Z wyrazami szacunku
JERZY LUCZAK
Łódź, ul. Nowotki 3

Od redakcji:

Mamy nadzieję, że Wydział Kwaterunkowy ustosunkuje się do tego problemu w sposób szerszy i sprawy te zostaną rozwiązane na terenie Łodzi generalnie. Nam też jest znany adres lokalu, który od dwóch lat stoi pusty.

★ * ★

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

W rozmowie z redaktorem „Dziennika Łódzkiego”, opublikowanej w niedzielnym z 30 stycznia numerze tego pisma z okazji XVIII Zjazdu Związku Literatów Polskich, wymienił mnie Pan wśród literatów łódzkich jako przykład pisarza „bardzo wysoko cenionego” przez krytykę, ale nie uznanego przez czytelników. Z kontekstu wypowiedzi Pana niedwuznacznie wynika, że to właśnie ja jedyny w Łodzi jestem tak niepozornym pisarzem. Stwierdzając to autorytatywnie, wyraża Pan przekonanie, że „nie poczuję się dotknięty”. Mam nadzieję, że i Pan również nie weźmie mi za złe, jeśli powiem, że Pan, tak doświadczony krytyk i publicysta, postępuje bynajmniej nieostrożnie wydając opinię niesprawdzoną. A sprawdzić jest przecież bardzo prosto — wystarczy wziąć do ręki słownik L. Bartelskiego „Polscy pisarze współcześni”, aby łatwo przekonać się, że wśród łódzkich kolegów nie jestem na ostatnim miejscu pod względem pozyczności moich książek. Trzy moje powieści zostały wznowione — ukazały się w dwóch wydaniach. Są to „Uprowadzenie Baudis” (drugie wydanie tej powieści również jest wyczerpane), „Kiermasz” i „Czasobranie”, w którego wypadku nakład pierwszego wydania rozkupiono w ciągu dwóch miesięcy od ukazania się książki w sprzedaży. Reguła, że drugie wydanie książki może

dojść do skutku jedynie po wyprzedaniu nakładu wydania pierwszego, jest Panu jako autorowi wielu pozycji książkowych dobrze znana.

Nie czuję się dotknięty, bo nie uważam, że wyjątkowa poczciwość decyduje o wartości dzieła literackiego. Muszę jednak stwierdzić, że ogólna wymowa wypowiedzi Pana mnie dotycząca zawiera największą krzywdę jaka może spotkać pisarza, ponieważ naraża go na utratę zaufania niezbędnego dla jego działalności. Aby sprostować niesłuszne zarzuty uprzejmie proszę o wydrukowanie tego listu w Pańskim poczytnym piśmie.

Łączę wyrazy szacunku.

(—)LEON GOMOLICKI

1. II. 1972 r.

Od redakcji:

SZANOWNY KOLEGO!

W swojej wypowiedzi dyskusyjnej nie użyłem słów (co łatwo sprawdzić), że jest Pan autorem „nie uznanym przez czytelników”. Powiedziałem jedynie, że sukces w opinii zawodowej krytyki nie zawsze pokrywa się z sukcesem czytelnicy i na odwrót. Wydaje mi się, i zawsze mi się tak wydawało, że wartość Pańskich książek są bezsporne, natomiast uwaga, bynajmniej nie autorytatywna, że nie uznanym czytelnicy, nie jest ani w intencji ani faktycznie żadną próbą pokrzywdzenia pisarza i jego twórczości.

Z należnym uszanowaniem

(—) JAN KOPROWSKI
Łódź, dnia 10. II. 1972 r.

★ * ★

Warszawa, dn. 28. I. 1972 r.

Obywatel
Redaktor Naczelny
„Odgłosów”

W związku z artykułem p. „Cieślak kary”, opublikowanym w nr 40 pisma z dnia 14 listopada 1971 r. uprzejmie komunikuję, iż w Ministerstwie Sprawiedliwości prowadzone są obecnie prace nad nowym regulaminem wykonywania kary pozbawienia wolności. Artykuł przekazany został właściwej jednostce organizacyjnej Ministerstwa w celu wykorzystania w tych pracach.

Naczelnik Wydziału Prezyd.
(—) W. TOMCZYK
27. I. 1972.

★ * ★

DO REDAKTORA NACZELNEGO „ODGŁOSÓW”

W imieniu Zarządu Łódzkiego Oddziału ZLP prosimy Ko-

legę o opublikowanie w redagowanym przez Niego piśmie niniejszego listu dla wyjaśnienia nieprawdziwych sądów zawartych w felietonie „Od niedzieli do niedzieli” („Odgłosy” nr 5 z dn. 30. I. 1972 r.):

1. Nieprawdą jest, że Oddział NOT w Łodzi zdecydował zorganizować zabawę karnawałową w dniu 5 lutego br. już po rozpoczęciu rozmów na temat udostępnienia pomieszczeń NOT dla XVIII Walnego Zjazdu ZLP.

2. Prawdą jest, że zamysł zorganizowania przez NOT zabawy w dniu 5 lutego br. powstał i został przekazany członkom NOT przed rozpoczęciem rozmów na temat lokalizacji XVIII Walnego Zjazdu ZLP, między Zarządem NOT a Zarządem Oddziału ZLP w Łodzi.

3. Prawdą jest także, że Zarząd NOT w Łodzi ze zrozumieniem i życzliwością traktował sprawę XVIII Walnego Zjazdu ZLP pragnąc jednocześnie — co jest zupełnie zrozumiałe — wywiązać się ze swych obowiązków wobec własnych członków. Z całą odpowiedzialnością stwierdzamy, że gdyby ZLP mógł zapewnić iż XVIII Walny Zjazd zakończy się — tak jak się w istocie stało — w dniu 5 lutego, Zjazd ten na pewno odbyłby się w pomieszczeniach NOT.

4. Prawdą jest także, że już po postanowieniu iż XVIII Walny Zjazd odbędzie się w pomieszczeniach Rady Narodowej m. Łodzi, Zarząd NOT oddał w określonych godzinach do wyłącznej dyspozycji Delegatów i Gości Zjazdu swą salę restauracyjną wraz z zapleczem bez żadnych dodatkowych opłat.

W imieniu Zarządu Oddziału ZLP uważamy za swój miły obowiązek podziękować Zarządowi NOT za życzliwość i pomoc w zorganizowaniu i przeprowadzeniu XVIII Walnego Zjazdu ZLP. Czynimy to tym chętniej iż to nam właśnie przypadło prowadzenie wszystkich rozmów z Zarządem NOT na temat XVIII Walnego Zjazdu ZLP.

Za Zarząd
Edward Szuster — Wiceprezes
Igor Sikirycki — Sekretarz.

Snobizm i Apokalipsa

Rozmowy o książkach, te głębockie i docieklive i te powierzchowne, często tylko intuicyjne, mają klimat rozmów w cztery oczy, spraw mimo wszystko bardzo prywatnych. Rozmowy o filmach mają wymiar publiczny. Książka jest osobistą sprawą każdego z nas, film jest naszą sprawą wspólną. O nieudanej polskiej książce mówi osób niewiele, nieudany polski film staje się sprawą niemal narodową. Przedmiotem dyskusji publicznej staje się film wybitny, a jeszcze częściej kontrowersyjny. Przypomnijmy choćby casus „Popiół”. Od miesiąca mówi się w Polsce o „Trzeciej części nocy”, debiucie reżysera Andrzeja Żuławskiego. Spór nie ustaje, podobnie jak nie słabnie ilość widzów w kinach film ten wyświetlających. W czym tkwi tajemnica sukcesu tego filmu, entuzjastycznie powitane przez większość krytyki filmowej i zaakceptowane, przynajmniej przez fakt bywania w kinie, przez publiczność?

Ogromną część widzów sukces ten jednak dziwi. Nie recenzowaliśmy filmu Żuławskiego, pragniemy bowiem przedstawić znaczne fragmenty dyskusji, która odbyła się w gronie młodego zespołu filmoznawców z Katedry Teorii Literatury, Teatru i Filmu UL. Prezentujemy ją w chwili, gdy najbardziej gorąca fala dyskusji opada. Oddajemy jednak głos tym, którzy reprezentują to samo pokolenie, co twórca „Trzeciej części nocy”. Czy są to postawy podobne?

W dyskusji udział brali: prof. dr B. W. Lewicki, mgr mgr: A. Habryn, B. Stolarska, Z. Machwitz, J. Rek, T. Szczepański. Notujemy głosy mające charakter zwartej wypowiedzi.

B. LEWICKI: Rozmowa o „Trzeciej części nocy”, to wśród innych spraw próba znalezienia odpowiedzi na pytanie, jakiej struktury społecznej film ten jest zjawiskiem.

Czy mamy tu do czynienia ze zjawiskiem awangardowym czy wtórnym? Czy traktować ten film jako wynik pewnej atmosfery i gustów, czy utwor reprezentatywny dla pewnego pokole-

Dyskusja o „Trzeciej części nocy”

nia literatów i filmowców — Głowackiego, Mętraka, Żuławskiego?

J. REK: Te pytania każą mi się zastanowić nad następującym zagadnieniem. W myśleniu językowym każdego narodu istnieją pojęcia obrosłe znaczeniami szerszymi, ba, nawet mitami. W naszym języku są to m. in. słowa: ojczyzna, bohaterstwo, okupacja, walka. Każdorazowe odwołanie się do tego bagażu pojęć ma gwarantować uzyskanie określonych efektów. Na pewno pewien skonwencjonalizowany sposób używania

wach stylizacji, kinie gwałtu, o tym wszystkim, co dzieje się dziś w kinie zachodnim, Żuławski tamten wiatr przejął w swoje żagle, pokazał, że było strasznie, ale to za mało, by zrobić ten film. Nie widzę za tym żadnego zapasu światopoglądu, żadnej koncepcji filozoficznej.

B. STOLARSKA: Było strasznie! Ale z czego ta straszność w filmie wynika? Gdy na ulicy zostaje zabity chłopiec, to dwaj przyjaciele zaczynają dyskutować na tematy metafizyczne,

A. HABRYN: Wszystko u bohaterów tego filmu przemienia się w słowa.

B. STOLARSKA: To jest to, co mnie najbardziej od tego filmu odpędzało. Tam, gdzie jest realizm zagrożenia fizycznego czy moralnego, tam zaczynają się dyskusje. Krytyka wysuwa jako temat filmu — okupację. Ale to nieprawda, nawet znaki okupacji są w filmie zamazywane. Apokalipsa i wszystkie próby budowania symboli i metafor są dążeniem do uniwersalizmu. Jeśli film, zgodnie z deklaracjami autora, ma być moralitetem, o treściach i znaczeniach ogólnych, próbując do nich dotrzeć. Znaleźć treści uniwersalne, które przekazuje. Trudno je jednak znaleźć. Opowiadanie Mirosława Żuławskiego jest utworem realistycznym, ważny w nim jest stosunek pisarza do okresu wojny, ewokuje przy tym atmosferę bardzo wyciszoną. Film Żuławskiego agresywny, epatuje przede wszystkim grozą.

Z. MACHWITZ: Mnie film Żuławskiego zafascynował, uświadomiłem to sobie, gdy oglądałem go pierwszy raz, upewniłem się w czasie drugiego spotkania z tym filmem. Nawiązując do tego, co powiedziałeś, chcę zwrócić uwagę na to, że sytuacja historyczna może być punktem zaczepienia i na

Kariera śpiewaczki



Teresa Wojtaszek-Kubiak jako Herodiada w „Tragedyi” R. Twardowskiego

W krótkim okresie bez mała dwóch lat, staliśmy się świadkami błyskotliwej międzynarodowej kariery łódzkiej śpiewaczki, solistki Teatru Wielkiego. Mowa oczywiście o Teresie Wojtaszek-Kubiak. W ciągu tych dwóch lat artystka stała się fru- wającym po dwóch kontynentach ptakiem, którego trudno spotkać w Polsce. Nasza rozmowa odbyła się kilka tygodni temu, tuż przed jej odlotem do Portugalii. W Lizbonie miała śpiewać w „Elektrze” Ryszarda Straussa, a kalendarz na dalsze miesiące pełen był kolejnych terminów na występy w USA, Belgii, Anglii itd.

Sukcesy artystki cieszą nas tym bardziej, że Teresa Kubiak jest łodzianką. Śpiewu uczyła się w Średniej Szkole Muzycznej u prof. Julii Gorzechowskiej, a WSM — u prof. Olgi Olginy. Po ukończeniu studiów, w 1965 r. zaangażowana została do Opery Łódzkiej, ale jeszcze wcześniej — w 1964 r. — pierwsze sukcesy. W 1960 r. na Ogólnopolskim Konkursie Śpiewaczym w Katowicach zdobyła drugą nagrodę, w 1961 r. — Srebrny Medal na Konkursie w Helsinkach, w 1963 — Złoty Medal w Tuluzie, w 1965 — drugą nagrodę w Monachium.

To wszystko był dorobek studentki. Potem przyszedł Teatr Wielki (artystka z dumą podkreśla, że jest jednym z najstarszych pracowników tego teatru) i szereg ról w kolejnych premierach: Halka, Micaela w „Carmen”, „Herodiada” w „Tragedyi”, Elza w „Lohengrinie”, a ostatnio Aida. Pierwszym występem zagranicznym była „Halka” w Gruzji. Artystka zdobyła tam ogromną sympatię wyrobioną publiczności i entuzjastyczne recenzje krytyki.

Rok 1969 przyniósł dalsze występy w kraju i za granicą. Recitale w Bułgarii, „Tragedyja” w Lipsku, koncert i występ radiowy w Berlinie. Po powrocie z Berlina, zupełnie przypadkowo przesłuchana została przez amerykańskiego impresario, który przebywał w Warszawie. Z tego przypadkowego spotkania wynikało engagement do Stanów Zjednoczonych — kraju kapryśnej i wymagającej publiczności, której reakcji nigdy nie można przewidzieć.

W marcu 1970 jest więc w Nowym Jorku, gdzie na estradzie Carnegie Hall śpiewa w „Królowej Sabie” Goldmarka. Po pierwszym sukcesie pojawiają się dalsze propozycje. W październiku śpiewa „Euriante” Webera w Filharmonii Nowojorskiej. Po tym występie stało się już wiadome, że Teresa Kubiak podbiła amerykańską publiczność i będzie dla niej śpiewać nie raz jeszcze.

Rok 1971 był ciągiem nieustannych podróży. W marcu rozpoczęła kilkumiesięczny pobyt w Anglii, gdzie w Glyndeborne śpiewa w „Damie pikowej” Czajkowskiego (16 przedstawień w ciągu 38 dni!), a jednocześnie „La Calliste” Cavalliego. W sierpniu wyjeżdża po raz drugi do Stanów Zjednoczonych. We wrześniu śpiewa „Madame Butterfly” Puccinie-

go w San Francisco, w październiku „Toskę” tego samego kompozytora — w Chicago, — tem znów San Francisco, znów Chicago, następnie Houston i Nowy Jork. W listopadzie wyjeżdża do Włoch. W teatrze „La Fenice” (Wenecja) śpiewa Chryzotemis w „Elektrze” R. Straussa.

I Teresa Kubiak ledwo zdążyła na święta i Nowy Rok do domu, do rodziny. A tam czekali na nią z utęsknieniem mąż i dwie córki oraz przewodniczka do nowego mieszkania, które państwo Kubiakowie właśnie otrzymali. Przewodniczka — wiadomo — trzęsienie ziemi, więc o odpoczynku znów nie było mowy.

Jak ona to wszystko wytrzymała? To mordercze tempo pracy — siedem premier, siedem wielkich partii w bardzo trudnych operach, w dodatku śpiewanych w ojczym języku. A przecież wiadomo, że na Zachodzie czas to pieniądz, sezon operowy trwa w Stanach Zjednoczonych tylko od września do grudnia, artyści przystępują do prób całkowicie już muzycznie i aktorsko przygotowani.

— Jak ja to wytrzymałam? Sama nie mam pojęcia. Bo do tego wszystkiego doszły jeszcze zmiany czasu i klimatu. Wyjechałam z Polski gdy zaczynała się jesień, a znalazłam się w San Francisco w środku upałów stulecia — 45 stopni Celsjusza. I miałam tylko dwa tygodnie na przygotowanie „Butterfly” po włosku. Po 15 godzinach lotu byłam o 5 rano w San Francisco, a o 12 zaczynała się próba, która trwała do 10 wieczorem. „Butterfly” była tam bardzo ruchliwym widowiskiem. Cho-cho-san ruszała się bez przerwy, biegła, tańczyła przed „inkertonem”, często nosiła dziecko. Po próbach, w hotelu całkiem zwyczajnie, płakałam z bólu, nie przyznając się do tego nikomu. Zresztą nie przyznałam się nawet do tego, że śpiewam „Butterfly” pierwszy raz w życiu.

Z San Francisco poleciałam do Chicago, gdzie panował chłodny jesienny klimat z przymrozkami, potem do Houston o mokrym, tropikalnym upale, i wreszcie do Nowego Jorku gdzie znów panowała jesienna pogoda o zbliżonym do naszego klimacie.

Ale nie to mi najbardziej dokuczało. Najgorsza była samotność, wyobcowanie. Najbardziej brakowało mi męża. Nie miałam z kim dzielić swoich przeżyć, nie miałam się kogo poradzić, zapytać czy to co robię jest dobre, czy złe.

Nie od rzeczy będzie tu wtrącić, że pan Janusz Kubiak jest muzykiem, pierwszym wiolonczelistą w orkiestrze Teatru Wielkiego, a także pierwszym i zapewne najsurowszym doradcą i krytykiem swej żony. I teraz przypominała mi się, dość rozpowszechniona w świecie muzycznym opinia, że śpiewaczka powinna zrezygnować z życia osobistego, powinna być samotna, oddana jedynie sztuce, którą uprawia i której służy. Czy Teresa Kubiak jest wyjątkiem w tej regule, czy też reguła

taka nie istnieje? Zapytałam ją o to.

— To nieprawda. Śpiewaczka też jest człowiekiem i ma prawo do prywatnego życia, do osobistego szczęścia. Zresztą, spotkałam za granicą znakomite artystki, które mają po troje, czworo dzieci. Oczywiście, nie jest to łatwe i jestem szczęśliwa, że mogę być żoną, matką i śpiewaczką. Wydaje mi się, że jest jeszcze drugi aspekt tej sprawy. Własne przeżycia uzbogacają sztukę artysty, pozwalają mu pełniej dojrzeć, poza tym hartują życiowo, uczą skali ważności przeżyć, szczególnie w przypadku niepowodzeń, a te przecież zawsze mogą przyjść. Jeszcze za studenckich czasów, poje-

chałam na konkurs do Tuluzy w piątym miesiącu ciąży. Nie było mi łatwo, ale chyba mniej miałam czasu na treść, mówiłam sobie: jest nas dwoje, musimy nadołać. Zdobyłam wówczas trzecią nagrodę.

Nasza rozmowa była długa. Artystka opowiadała wiele o wrażeniach, przeżyciach w ciągu jednego, długiego i krótkiego roku zarazem. Żyła jak w barwnym kalejdoskopie ciągle zmieniających się przeżyć, wrażeń, obrazów i krajobrazów, ludzi obcych i rodaków, którzy przychodzili, by jej pogratulować, by spytać o Polskę. Trudno nawet pokusić się o zrelacjonowanie tych wspomnień

tak jest ich dużo. Nie będę też powtarzać, cytować raz jeszcze entuzjastycznych recenzji prasy amerykańskiej i polonijnej, pełnych zachwytu dla jej bogatego, o rozległej skali i pięknej barwie sopranu, znakomitej techniki i wielkiej muzykalności. Ja bym dodała do tego jeszcze wytrwałość i pracowitość. Bez tych cech nie byłoby wielkich sukcesów Teresy Kubiak.

Pytam jeszcze, co z tych wyjazdów, tych występów uważa za najcenniejsze dla siebie. Co dał jej ten wielki wysiłek i wielkie sukcesy, co w tym było najważniejsze?

— Przede wszystkim chyba obserwacja życia operowego za granicą, stylu ich pracy, techniki śpiewu. No i poznanie największych śpiewaków świata, możliwość występowania z nimi. To nie tylko satysfakcja artystyczna i ambiciozność, ale także szkola. Kiedy w San Francisco, w drodze lotniczej dowiedziałam się, że „Toskę”, w której będę śpiewać, reżyseruje Tito Gobbi, a także występuje jego Scarpia, wydawało mi się, że snię. To uczucie zresztą powracało do mnie często. Przysłuchiwałam się w Metropolitan Opera lekceom prowadzonym przez Marię Callas, która zresztą i dziś śpiewa cudownie, miałam poczucie występować z artystami takimi jak: Carlo Bergonzi, Stuart Burrows, Gedda Sutherland, Marilyn Horn, Gedda Nicolai czy Christa Ludwig.

Jeden z amerykańskich recenzentów napisał o Teresie Kubiak: „Ona jest najrzadszym z operowych ptaków od czasu Renaty Tebaldi”. Ale nawet najrzadsze ptaki powracają do swoich gniazd. Ona ma tu swój dom i rodzinę, w której jest bardzo szczęśliwa. Więc zawsze będzie tu wracać. Sztuka, talent, to dobra ogólnoludzkie, które muszą być szeroko udostępniane. Wszyscy są dumni, gdy mogą pochwalić się przed światem swoimi dobrami. I my cieszymy się, że możemy pochwalić się naszymi artystami. Zwłaszcza, gdy na każdym kroku podkreślają swoją przynależność do kraju, do miasta, do drugiej półkuli wielu ludzi, od nich i dzięki nim, dowiadujemy się o istnieniu naszego miasta i naszego teatru.

Bardzo mi się to ładnie powiedziało, ale przecież sama chciałabym kiedyś usłyszeć Teresę Kubiak w Łodzi. Śpiewaczka będzie tu w marcu i chciałaby wystąpić w „Butterfly”. Śpiewa ją jednak tylko po włosku, a przeprowadzenie partii na polski trwałoby zbyt długo, nie ma na to czasu. Wzięć boi się, że publiczność może źle przyjąć, że zrozumieć taki „włoski występ”. Żle to my rozumiemy, bo nie znamy włoskiego, ale nie w tym sensie, w jakim ona myśli. Więc zapewniam ją, że chcemy ją usłyszeć, choćby po włosku. Myślę, że Czytelnicy są tego samego zdania.

nim buduje się myśli ponadczasowe, wtedy sytuacja historyczna może być nawet niekonkretna. Film Żuławskiego jest dla mnie próbą formowania rzeczywistości ponadczasowej, w której ludzie znajdują się w sytuacji ostatecznej i stawiają ostateczne pytania: o śmierć i życie, o sens życia.

T. SZCZEPAŃSKI: Opowiadanie Żuławskiego-ojca, jest fabularyzowaniem przeżyć osobistych, film syna — dziełem człowieka, który wojny nie przeżył. Te same wydarzenia pod ręką syna zyskują zupełnie inny kształt. Kierowane są inną intencją. Rzeczywiście chodzi tu o wywołanie grozy i dreszczu. Epatowanie grozą, makabrycznym rekwizytem ma wywołać wstrząs, ale jest to przeżycie bardzo powierzchowne i dlatego nie mogę oprzeć się wrażeniu, że mam tu do czynienia z kiczem. Wtwory kiczowe sytuują się na różnych poziomach, to nie muszą być „Angeliki”, mogą nimi być filmy, których ambicje zdają się większe, a pozostaje pretensjonalność. Właśnie kiczowatość polega na pretensjonalności i intencjonalności; określonych środków formalnych używa się z intencją uzyskania takich, a nie innych efektów. I to w „Trzeciej części nocy” jest szczególnie widoczne. Sądzę, iż na tym filmie zemściła się też pewna prawidłowość rządząca sztuką filmową, trudno poddającą się metaforyza-

cji. Metaforyczność filmu wychodzi bezpośrednio od rzeczywistości, w rzeczywistości szuka symbolu, porządek realny wyznacza porządek symboliczny. W filmie Żuławskiego sytuacja jest odwrotna — rzeczywistość kreowana jest w sposób arbitralny i w związku z tym arbitralność nie jest indywidualna, lecz wtórna — w sensie naśladownictwa. A filozofia filmu? Jeśli jest, to niedobra.

B. LEWICKI: Właśnie, swego czasu Andrzej Żuławski dał się poznać jako autor, krytykujący Bunuela. Nie mogę nie przypomnieć, że Bunuel przy całej szokującej poetyce swych dzieł (poetyka jest u niego światopoglądem) jest twórcą, który stale podkreśla to, że w filmie najważniejsze jest to, „o co chodzi”. I właśnie w tym „o co chodzi” film Żuławskiego jest utworem pozorów, treści, formy, światopoglądu. Do wypowiedzianych tu dziś wątpliwości muszę dorzucić jeszcze jedną, w moim osobistym odczuciu najistotniejszą: czemu wielbi się dziś film, który mówi o wojnie, że była apokalipsą, zdarzeniem boskim, zesłanym przez aniołów. Mirosław Żuławski pisał o rachunkach krzywd, syn wyjaśnił szuka w Apokalipsie. A w naszej tradycji kulturalnej było zawsze tak — tam, gdzie rzeczywistość historyczna przekraczała fantazję poetów, tam fantazja musiała ustąpić. A „Trzecia część nocy”?

T. SZCZEPAŃSKI: Film Żuławskiego pozostaje w sprzeczności z naszą tradycją i kulturą, jest to moje najgłębsze przekonanie. Zastanawiam się nad atmosferą, która film ten otacza. Skąd tyłu jego apologetów? Upatruję w tym jakąś taktikę, chwali się film, o którym się wie, że jest zły, ale on po prostu ma być manifestem wolności w sztuce. W tej atmosferze wytwarza się snobizm, w który dała się wciągnąć także publiczność. Film ma powodzenie. Na sali kinowej panuje atmosfera rzadko spotykanej celebry. A rozmowy o filmie... tyle burzliwe, co żadne.

B. STOLARSKA: Znamiennie są tu również głosy krytyki filmowej. Ci, którzy głoszą wielkość filmu Żuławskiego, nie docierają do jego sensów, powiela się określenie „własnej wizji świata”, ale go się nie precyzuje. Wydaje mi się jednak, że i w naszej dyskusji nie ustrzegliśmy się błędów, którymi, moim zdaniem, ciążył nad innymi rozważaniami na temat „Trzeciej części nocy”. Nadużyciem bowiem wydaje mi się ocenianie tego filmu ze względu na to, czym nie jest i wnoszenia pretensji z powodu tego, iż nie jest wierną adaptacją, bądź realistycznym filmem o wojnie, przy jednoczesnym ignorowaniu konsekwencji wynikających z przyjęcia określonej poetyki. Prowadzi to do rozmiłowania się z filmem. Nie

wyduje mi się także, by film nie zasługiwał na dociekliwość interpretacyjną. Zadałam w dyskusji pytanie o sposób racjonalizacji sensów tego filmu. Odpowiadając na nie sądzę, że jego intencją było ukazanie sytuacji, w której zewnętrzne wypadki powodują zachwianie wiary w trwałość wartości humanistycznej. Apokaliptyczny wymiar takich właśnie sytuacji poznało bowiem najdotkliwiej pokolenie wojennej inteligencji. Wydaje mi się, że Żuławski podjął próbę identyfikacji z doświadczeniem pokolenia Kolumbów z tego okresu, kiedy bezpośrednio w życiowym doświadczeniu musiało ono znaleźć wartości, które nie tylko pomagałyby przetrwać, ale potrafiłyby uzasadnić sens trwania i konieczność śmierci. Fakt powrotu do tzw. rozrachunku inteligentnego przez reprezentanta nowego pokolenia twórców, nie znającego okresu wojny z autopsji, wydaje się zastanawiający. Sądzę, że nie powinniśmy ignorować wysiłku zrozumienia własnej tradycji. Tylko dlatego to, co zostaje nam przekazane, ma głównie charakter gestów? A bohater filmu manifestuje się w gestach. Czy reżyser sądził, że widz jest po to, żeby strzelać do autora i dlatego wybrał rozmowę z samym sobą. Nie nawiązuje dialogu z odbiorcą. I zastanawiam się nad tym, do czego miałam być sprowokowana? Do analogicznej własnej roz-

mowy? W ten sposób staję przed nowym problemem określenia sensu tej rozmowy. Na to pytanie bowiem reżyser nie dał odpowiedzi, ponad uzasadnienie własnej potrzeby. To starczy, żeby zrobić film, ale nie tworzyć dzieła.

* * *

Wypunktujmy te głosy, ich główne sensy: „nie widzę zaplecza światopoglądowego”, „chwycano wiatr w żagle”, „film pozorów treści, formy i światopoglądu”, „film niedobrej filozofii”, „epatowanie grozą ma wywołać wstrząs, ale to przeżycie bardzo powierzchowne”, „mam tu do czynienia z kiczem”, „do czego miałam być sprowokowana?”, „jaki jest sens tej rozmowy reżysera z samym sobą — reżyser nie dał odpowiedzi”, „film mnie zafascynował, musiałem go obejrzeć drugi raz”, „cenię ten film za odwagę”.

Wśród głosów „za” i „przeciw” te ostatnie są w przewadze. Czy są słuszne? Zostawmy to ocenie Czytelników, nam wydają się w swym dążeniu do racjonalizacji sprawy samego filmu i atmosfery wokół niego głosami znamienymi. Dowodzą, jak mylnie bywają publicystyczne tezy tak łatwo szermujące ogólnikami, w tym wypadku odnoszącymi się do postaw pokolenia.

Opracowała:
EWA NURCZYŃSKA

ŚWIATŁO MARTWYCH OCZU ALBO DOWCIP O ŻYCIU

— Co tam się stało?
— Człowiek umarł.
— Na co?
— Szedł. Przewrócił się. I umarł.
— Panie, zna pan ten kawał?
— O czym?
— No ten dowcip o życiu, zna pan?
— Gdzie pani dostała banany?
— W Delikatessach.
— No jak? Zna pan, czy nie?
— Panie, odczep się pan.
— Jeżeli pani się pospieszy to może jeszcze pani dostanie.
— A w których?
— Co w których?
— Banany.
— Przyczepił się jak gówno podeszwy.
— Dla kogo gówno dla tego gówna. Mowa trawa kiszka krwawa.
Nazywam się Kowalski, Waldemar Kowalski.
— W tych naprzeciw Ruchu.
— To leć. Biednostka zrobił się jakby był z plastiku.
— Panie pan mnie obraził, ale ja panu ten kawał powiem.
— Swojej babci pan opowiadaj.
— Nie mam babci. Jestem sierotka.
— Pani patrzy. Pół godziny. To jest pogotowie.
— A w zeszłym tygodniu mężczyźnę znaleźli na torach.
Głowa leżała osobno. W życie.
— No chce pan posłuchać czy nie?
— Nie.
— Nie to nie.
— Ciekawe, ma dzieci?
— Stary jest, chyba dorosłe.
— Nas było w domu czterech braci. Jak ojciec umarł, sami nieśliśmy trumnę.
— Panie ja jednak panu ten kawał opowiem. Niech mnie szlag trafi jeżeli tego nie zrobię.
— Zawołam milicjanta.
— Eee, kapuś.

— Pani w szpitalu to się człowiek napatrzy.
— Ja nie lubię chodzić na pogrzeby.
— Ja też nie, ale moja matka lubiła. Zawsze rano przeglądała gazetę żeby wiedzieć kogo chowają.
— Długo żyła?
— Dziewięćdziesiąt dwa lata.
— Panie nie chuchaj mi pan w twarz. Odejdź pan.
— Ale przedtem opowiem ten dowcip.
— Nie chcę.
— W seperatce leżał jeden taki bez kiszki stołcowej. Diagnoza była: światło zatkaane przez guz. Od tej pory nosił blaszane pudełko. Niedługo, bo guz mu w brzuchu rozkwitł. I umarł na ten kwiat.
— Biedny człowiek.
— A ludzie się tak jeszcze gryza.
— Wilki. Gwoździe w ranach.
— W gazecie pisali: matka zabiła młotkiem trzymiesięczne dziecko.
— Pisali: matka odbiera sobie życie aby oddać swoje oczy ślepemu dziecku.
— Kurewski świat. Piękny świat.
— Panie z pana kapitalny frajer. Pan nie a nie nie rozumie. Ja panu jednak nie opowiem tego kawału. Pan jest tupa polska żyłtka. Ciało, ciało, bambino. Ciało.
— Jedzie. Ludzie rozstancie się. Pogotowie jedzie. Nie stójcie tak nad tym człowiekiem. Pozwólcie go przykryć białym płótnem. Idźcie do swoich domów. Biegnijcie do swoich stołów. Ludzie zmiłujcie się nad jego śmiercią. Przecież jest już w was to poczucie pewności, że tu nie o was chodzi. Macie to światło z martwych oczu. Ludzie dajcie spokój temu trupowi z kneblem wiekuiatego anioła w krtani.
Idźcie, żyjcie.
Potrzeby jest ruch ciała rzeczy i światła. O tulipany dziewczęcych pódupków. Złoty zgrzycie tramwajowego dzwonka. Tranzystory chrypliwego głosu Piaff Śpiewajcie o Paryżu.



STANISŁAW MISAKOWSKI

Wśród świń

— No, jazda! Na co jeszcze czekasz, wchodzi! — rozkazano mi.
Pochyliłem się i wśliznąłem przez otwartą furtkę do jakiegoś ogrodzenia. Po chwili zorientowałem się, że jestem wśród świń. Spojrzałem na siebie: furtka była już szczelnie zamknięta. „Muszę pogodzić się z sytuacją” — pomyślałem patrząc na leżące obok opasłe zwierzaki. Było ich chyba z pięćdziesiąt sztuk. „Bogata farma” — stwierdziłem ani ciesząc się ani rozpaczając.
Świnie, zdawało się, przyjęły mnie bez większego zainteresowania. Kilka starych maclor na mój widok uniosło ryje, chrząknęły i znów zapadły w błogą drzemkę. Ich wielkie cielska, brudne i zmietoszone, leżały na przesiąkniętej gnojem ściółce. Nie zachwycał mnie ten widok, jatrzyło mnie coś w dołku pod żebrami, bałem się, że zwiomiutuję. Jednak przewyciężyłem wstręt i godząc się z sytuacją, zacząłem w tym nowym świecie poszukiwać dla siebie wygodnego leżowiska. Ale zaledwie uczyniłem kilka

kroków, jak stado się poruszyło, rozległy się chrząkania i kwiki. Niepokój wśród świń wzrastał z chwili na chwilę, powstał ogólny zamęt. Zwierzaki spoglądały na mnie podejrzliwie, nawet wrogo. Obca mi była ich psychika, nie wiedziałem w jaki sposób mogą tak szybko się między sobą porozumieć. Sytuacja przybierała coraz groźniejszy obrót. Zatrzymałem się w miejscu, ale i to nie zapobiegło narastającemu niebezpieczeństwu. Nie spodziewałem się już znikąd pomocy, z trwogą czekałem na dalszy rozwój wypadków. Dopiero, kiedy nadeszła pora obiadowa odetchnąłem. Całe stado runęło do koryta. Byłem głodny, więc również chciałem dostać się do żarcia, lecz odepchnięto mnie bezceremonialnie, a kilka starych knurów ostrymi kłami rozpruło mi pośladki. Chlusnęła krew, jej zapach wprowadził zwierzaki w listną furję; powstał taki lament i krzątania, że tylko dzięki zapobiegliwości obsługi udało mi się uniknąć wiszącej już na karku śmierci.
Potem byłem już ostrożniejszy, zacho-

wywałem się jak mysz pod młotem, w porach kiedy podawano pokarm nie zbliżałem się do koryta. Tak mijaly dni. Wokół zagrody od czasu do czasu pokazywali się ludzie, niektórzy z nich przynosili eksperymentalne zestawy pasz, niektórzy przyglądali się beczynie albo poklepywali po grzbiecie któregoś dobrze upasionego wieprza. Na mnie nie zwracali żadnej uwagi — w tej gromadzie byłem dla nich jednym z najmniej interesujących okazów.
Opadałem z sił, słabłem z dnia na dzień, aż któregoś ranka całkowicie zaniemogłem. Wygnany przez ludzi, nie przyjęty przez świnie, zrezygnowany powalłem się półprzytomny przy płocie. Wtedy po drugiej stronie zagrody zatrzymało się kilku ludzi, przyglądali się mi z obrzydzeniem, jeden z nich próbował nawet kijem rozgiąć splecione na czole dłonie. Moje uszy ledwo odbierały toczące się między nimi rozmowy.
— Może to nie świnia? — pytał najwyższy z nich.
— Świnia! — stanowczo powiedział grubas. — Sprawdziliśmy cały rodowód. Zapewniam, że nie może być żadnej wątpliwości.
— Dlaczego więc stroni od niej całe stado? — nalegał pierwszy.
— Może to jakiś inny gatunek. Są przypadki w przyrodzie, kiedy potomkowie jednego drzewa genealogicznego wzajemnie się między sobą zwalczają.
— Eee — zaprzeczył pierwszy. — Ten przykład dotyczy zupełnie innych gatunków zwierząt, a tu przecież mamy do czynienia ze zwykłą świnia.
— Zwykłą?!!
— Sam przecież powiedziałeś, że nie może być wątpliwości, że jest to świnia.
— Nie cofam swych słów, lecz wracając do poprzednich stwierdzeń, podejrzewam jednak, że jest to inny gatunek. Na

przykład: świnia gatunku intelektualnego. Ten typ zwierząt w przyrodzie nie jest miłe widziany.
W tym momencie przytomność zaczęła mi szybko wracać, otworzyłem szerzej powieki. Widziałem teraz doskonale zakłopotaną twarz wysokiego mężczyzny.
— Twierdzisz, że nawet świnie stronią od swoich rodaków o wysoko intelektualnym usposobieniu?
Przez chwilę milczeli, jak gdyby rozważając problem, który niespodziewanie wyniknął. Potem pierwszy mówca stłumionym, załamany głosem zapytał:
— Co teraz zrobimy? Ona jest zupełnie wyczerpana (wskazał na mnie). Jest chuda jak szczapa i na ubój się nie nadaje.
— Zostawmy ją w spokoju. Niech zdycha.
— A jeśli oprzytomnieje i skorzysta ze swoich intelektualnych możliwości? Może podjucić innych, wywołać bunt. Takiej jak ona (znów wskazał na mnie) teraz już wszystko jedno. Wygodzone są najgorsze, zdolne do największych okrucieństw.
— To prawda. Ten problem musimy omówić na posiedzeniu Rady. Chodźmy, nie marnujmy czasu.
Kiedy odeszli uniosłem się na nogach i zawołałem:
— Świnie! Słuchajcie, co wam powiem. Czekajcie na was ubój. Rzeźnicy ostrzą już noże. Słyszałem o tym przed chwilą od dwóch osobników. Ratujmy się, póki czas! Ogrodzenie jest słabe, uciekajmy!
Ale moje nawoływania zostały bez odpowiedzi — podano żarcie i całe stado gwałtem runęło do żłobu. Kilka upasionych wieprzków zwałilo mnie z nóg trając ostrymi racicami na śmierdzącej ściółce.
Zdawało mi się jednak, że obnażony nade mną błękit powtarzał echem moje wezwania: „Ratujmy się, póki czas!”

POLONICA

O BOJU NA SORBONIE

27 stycznia odbył się na paryskiej Sorbonie uroczysty wieczór poświęcony pamięci Tadeusza Boya-Zeleńskiego. Odczyt ten zorganizował bardzo aktywny i pięknie działający Centre de Civilisation Polonaise (Ośrodek Polskiej Kultury). Słowo wstępne wygłosił dyrektor Ośrodka, docent Jan Detko. Prof. Jean Fabre, świetny znawca literatury polskiej i tegoroczny laureat nagrody polskiego oddziału SEC, wygłosił bardzo interesujące przemówienie, poświęcone pracy przekładowej Boya i jego piarstwu, pełnemu głębokiej poezji. Następnie Wojciech Natanson dał portret Boya, osnuty na tle wspomnień osobistych. W dyskusji zabralo głos wiele osób, obecnych na sali. Mimo niepogody przybyła na wieczór bardzo liczna publiczność, m. in. wybitny komediopisarz francuski, autor „Huzarów”, P. A. Bréal, Annette Vaillant, Raymond i Valentin Temkine, prof. Decaux, prof. Szurek-Wisti, Jan Brzękowski, Jan Winczakiewicz, Jadwiga Kukulczanka, Anna Posner, Suzanne Arlet, bratanek Boya, Władysław Zeleński, Stephane Desmaretz i inni. Odczytano na zakończenie apel Rosy Bailly, wielkiej przyjaciółki polskiego narodu, o nadaniu nazwiska Boya jednej z ulic Paryża.

W Ośrodku Cywilizacji Polskiej zorganizowano wystawę poświęconą Boyowi.

DZIAŁALNOŚĆ OŚRODKA KULTURY POLSKIEJ W PARYŻU

W tym roku obchodząc będzie dziesięciolecie swego istnienia Ośrodek Kultury Polskiej (Centre de Civilisation Polonaise) na Sorbonie. Ma on za zadanie zaznajamianie Francuzów z polską literaturą, sztuką i humanistyką. Pierwszym dyrektorem był historyk, dr Bronisław Gieremek. Obecnie działalnością ośrodka kieruje historyk literatury, autor książek o Orzeszkowej i sygietyńskim, docent dr Jan Detko. Organizuje się tu odczyty z dyskusją, wystawy i seanse filmo-

we. M. in. wygłosili odczyty: Michał Sprusiński i Jerzy Łisowski. W pierwszym kwartale 1972 roku prof. Jean Fabre i Wojciech Natanson mówili o Boyu jako „idealnym tłumaczu na służbie francuskiej literatury”. Urządzone wystawę pt. „Tadeusz Boy - Zeleński i jego praca przekładowa” (pokazano tu całą „Bibliotekę” Boya w wydaniu przedwojennym i powojennym), wyświetlono filmy: Andrzej Żuławskiego „Trzecia część nocy” i Krzysztofa Zanussiiego „Życie rodzinne”. 18 marca odbędzie się odczyt dyr. Edmunda Cieślaka pt. „Rola Gdańska w dziejach Polski”.

BOROWCZYK — POETA FILMU

W związku z nowym filmem Waleriana Borowczyka, „Blanche” ukazał się o nim w „Le Monde” entuzjastyczny artykuł, napisany przez Gilles Plazy'ego. Sam tytuł jest znamienity: „Walerian Borowczyk” filmowiec i poeta”. Autor kreśli artystyczną biografię Borowczyka, przypominając, że w 1953 roku otrzymał on polską nagrodę państwową za litografię. Dalsza droga artysty biegła od malarstwa, poprzez film rysunkowy, do filmu autorskiego. „Blanche” to dzieło inspirowane „Mazepą” Juliusza Słowackiego (autor artykułu przypomina, że tragedia polskiego poety została napisana i ogłoszona w 1839 r. w Paryżu). Czas akcji przenosił Borowczyk w średniowiecze, około 1275 roku. Plazy daje też portret literacki naszego rodaka, mówiąc o jego skromności i inteligencji. Dąży on do realizmu uczuć i pragnień, w filmach chce być prosty, funkcjonalny, jasny. Pewne niebezpieczeństwo widzi w krytyce, która, jego zdaniem, musi się stać poezją wrażliwego odbiorcy dzieł sztuki.

W. N.

POLSCY MALARZE W LEKSYKONIE NRF

Dotarł do nas leksykon jednotomowy („Keyser Grosses Künstlerlexikon”), poświęcony sztuce, który ukazał się w Monachium. Obejmuje on życiorysy wybitnych malarzy od czasów starożytności aż do naszych dni. Ze zrozumia-

nych względów zainteresowały nas przede wszystkim sprawy polskie: kogo z naszych twórców uwzględniono, a kogo nie. Otóż w omawianym leksykonie znaleźli się: Szymon Czechowicz, Józef Brandt, Józef Chelmoński, Cyprjan Godebski, Juliusz Kossak, Aleksander Orłowski, Henryk Rodakowski, Franciszek Smuglewicz, Jan Stanisławski i Stanisław Wyspiański. Dziwić musi brak w tym leksykonie wielu nazwisk, a przede wszystkim Jana Matejki, Artura Grottigera i Jacka Małczewskiego. Jak widać znajomość naszej sztuki w krajach zachodnich daleka jest od stanu zadowalającego.

JK.

SUKCES „WARIATA I ZAKONNICZY” W GENEWIE

Wybitny aktor i reżyser francuski (syn Michela Simona), Francois Simon, który przed kilku laty wystawił „Dwa teatry” Szaniawskiego w radio genewskim, dał obecnie w Theatre de Carouge przedstawienie „Wariata i zakonnicy” Witkiewicza w przekładzie Jadwigi Kukulczanki. Wrażenie spektaklu było tak znaczne, że cała prasa szwajcarska zamieszczała obszernie omówienia. „Tribune de Geneve” stwierdziła, że sztuka ukazuje nowe i nieoczekiwane strony w twórczości Witkiewicza „dandy, malarza, dramatopisarza, romantyka, futurysty, surrealisty”. (Już w roku ubiegłym grano w Genewie „Kurek wodna”). „Tribune de Geneve” pisze, że w „Wariacie i zakonnicy” „satyra jest zabawna, analiza bardzo cięta i trafna”. „Piękna historia miłosna staje się tu także oskarżeniem katów”. „Spektakl jest całkowicie udany”. Witkiewicz kontynuuje więc swój marsz triumfalny za granicą. W Nancy zagrano z dużym powodzeniem „Matkę”, teatr w Malakof pod Paryżem zapowiada „Szewców” w przekładzie Erica Vaux, w reżyserii Tadeusza Kantora.

W. N.

POLONICA

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

Prozatorskie próby

Stanisław Cieślak, autor trzech tomików poezji, wydanych w latach 1960 — 1968, zaprzagnął poprobować ostatnio swych możliwości prozatorskich, prezentując czytelnikom zbiór dwunastu opowiadań pod wspólnym tytułem „Prawa i lewa” (*). Autor zbioru wyszedł zapewne z założenia, że „nie święci garnki lepią” i... piszą opowiadania. Słusznie — z tym, że jakoś garnków i opowiadań może być i bywa rozma-

ita. Stanisław Cieślak jest synem wsi i środowisko wiejskie zna doskonale. Interesują go zwłaszcza aktualne problemy wsi polskiej, związane z emigracją znacznej części ludności wiejskiej do miast oraz z powstawaniem nowej grupy społecznej, tzw. chłoporobotników. Uwagę autora opowiadań zaprzają również sprawy i losy tych, którzy osiedlwszy się już na stałe w mieście, nie zrywają jednak uczuciowych, rodzinnych i wszelkich innych więzów, łączących ich ze społecznością wiejską.

Bohaterem tytułowego opowiadania „Prawa i lewa” jest właściciel „chłoporobotnik”, którego credo brzmi następująco: „Jedną nogą stoję na gruncie w Grabowej na pięciu morgach, drugą jestem w fabryce. Moja prawa ręka pracuje w fabryce i co miesiąc wkładam do kieszeni dwa tysiące pięćset złotych. Moja lewa ręka pracuje w gospodarstwie w Grabowa (...). Dotychczas moja prawa ręka nigdy nie pomyliła się z lewą, ani lewa noga z prawą. Chłoporobotnik jestem, nowy człowiek”.

Należy, oczywiście, życzyć temu „nowemu człowiekowi”, by mu się i nadal nigdy ręce i nogi nie myliły, ale, jak twierdzi dyrektorzy zakładów przemysłowych, sprawy chłoporobotników nie zawsze układają się tak pomyślnie, co zwłaszcza w okresie wiosenno-jeziennym przysparza tymże dyrektorom wiele kłopotów i zmartwień natury kadrowej.

Lektura opowiadań Stanisława Cieślaka prowadzi m. in. do wniosku, że żywi on wyraźne tendencje do fabularnego udziwniania swych utworów. Dzieła się tu rzeczy zaiste zgola osobliwe. Oto parę przykładów. W opowiadaniu „Pogrzeb dyrektora” ów dyrektor fabryki w miasteczku, człowiek pochodzenia wiejskiego i były partyzant, czując zbliżający się swój zgon, zobowiązuje najbliższego krewnego, by urządził mu... dwa pogrzeby (!): jeden

oficjalny, z przemówieniami i orkiestrą, gdy do grobu złożona będzie trumna bez nieboszczyka (!) i drugi — prawdziwy, lecz anonimowy, mały, potajemny, tradycyjnie partyzancki, z białym brzoźowym krzyżem na ustronnej mogile. W drugim z kolei opowiadaniu autor inscenizuje bardzo dziwne spotkanie oficera służby bezpieczeństwa, z poszukiwanym przez bandytą („Spotkanie z majorem”). W następnej pozycji, zatytułowanej „Zabi ogier” dowiadujemy się o wiejskim eleganckim, który doznawszy niepowodzenia w miłości — porzuca posiadłość w mieście i staje się eksporterem... zielonych żab (!), co przynosi mu wcale niezłe dochody. Itd, itp., ale nie mam tutaj miejsca (ani chęci) na wyciszenie wszystkich zaawartych w opowiadaniach St. Cieślaka osobliwości. Prawdę mówiąc większość z nich wydaje mi się czymś sztucznym i wymyślonym. Wspomniałem na wstępie, że St. Cieślak jest autorem trzech tomików poezji. Może więc i przy pisaniu opowiadań ulegał od wpływów fantazji poetyckiej itp. inspiracjom.

Od strony formalnej opowiadania Stanisława Cieślaka pozostawiają sporo do życzenia. Cechuje je na ogół nieporadność konstrukcji, ujawniająca się w dłużykach, w nadmiarze opisowości, w trudnościach doprowadzania narracji do sedna rzeczy i in. Opowiadania są nierówne i w pomysłach i w wykonaniu. Niektóre świadczą o pewnej staranności roboty warsztatowej, inne — to tylko szkice, notatki, surowy materiał, wymagający kompozycyjnego planu rozbudowy i opracowania (np. „Powrót na wieś”).

Na podstawie zbioru „Prawa i lewa” nie ryzykowałbym wydawania stanowczych ocen i sądów co do prozatorskich kwalifikacji Stanisława Cieślaka. Zawarte w tym zbiorze pozycje są to — moim zdaniem — dopiero pierwsze próby prozy autora, który ma w druku czwarty z kolei tomik poezji. Jeśli Stanisław Cieślak pragnie rozszerzyć zakres swego piarstwa, niech próbuje dalej. My cierpliwie poczekamy na jego nowe opowiadania (a może powieści?). przeczytamy to nie bez zainteresowania i powiemy o tym więcej i dokładniej, niż mogliśmy o „Prawej i lewej” powiedzieć dzisiaj.

*) „Wydawnictwo Łódzkie”, str. 139, cena zł 10,-

Przeszłość i terażniejszość

Bożyszcze europejskiej krytyki literackiej sprzed stu lat, duński esaista i krytyk literatury Georg Brandes, którego warszawskie odczyty literackie doprowadzały entuzjastyczną publiczność do euforycznego zachwyty, zauważył kiedyś, że Polacy są niezmiernie wyuczuleni na to, co mówią o nich i piszą obcy, w szczególności zaś przyjmują bardzo niechętnie obce sądy o nich samych, jeżeli nie pokrywają się one z ich własnymi. Zagrzebanie się w dziejach naszego XIX-wiecznego piarstwa pozwoliłoby na poparcie tej obserwacji mnóstwem przykładów i dalały podstawę dla jej dokładniejszego sformułowania. Niedawno zagłębiłem się w lekturę pism wybitnego przedstawiciela warszawskiego, pozytywistycznego kierunku naszego dziejopisarstwa, mianowicie Aleksandra Rembowskiego i właśnie tutaj stwierdziłem — po raz nie wiem który — niezmiernie charakterystyczne zjawisko: polski historyk w najsurowszych słowach krytykował badaczy nie-

mieckich i rosyjskich za... dokładnie takie same twierdzenia o stanie Rzeczypospolitej szlacheckiej w XVII — XVIII w., jakie można znaleźć we własnych jego pracach. Przykład ten, a łatwo dostarczyć innych podobnych, nie tylko zresztą z obszaru historiografii polskiej XIX w., winien skłonić nas do zastanowienia się nad ogólniejszym zagadnieniem. Dzieje naszego narodu w ostatnich dwóch wiekach nie poskąpiły nam ze strony najróżniejszych obcych krzywd, podstępów i wszelkich niecności, co stworzyło u nas nie zawsze kontrolowane, rzadko uświadomiane podejrzenie, że jeżeli ktoś obcy coś o nas pisze, o naszej przeszłości czy terażniejszości, zwłaszcza zaś pisze krytycznie (a każda historia, jeżeli jest w ogóle historią mogącą rościć sobie jakieś pretensje do naukowości, jest krytyczna), to zapewne czyni to w złej woli, a więc i jego krytyka jest niesłuszna. Przy okazji wspomniemy o stosowaniu tych samych kryteriów do samych siebie i oburzili-

byśmy się niechybnie, gdyby ktoś obcy oceniał tak samo to wszystko, co my sami piszemy o obcych. Ze bywało tak nie tylko w przeszłości, nie muszę nikogo przekonywać. Tymczasem aż zbyt dobrze wiadomo, że niejednokrotnie nasze własne sądy o sobie samych grzeszą jednostronnością brania pobożnych życzeń za

tego, co jest, wypowiedziami niektórych polskich autorów, dowodzących, że skoro „Polska nierządem stoi”, świadczy to o doskonałości jej urzędów oraz o szczególnej opiece niebios, które gwarantują nam spokojną i jasną przyszłość. Wielki francuski historyk i przyjaciel Polski Jules Michelet, kiedy zbierał materiały do

wi emigranci woleliby traktować jako niebyłe. Cóż, Michelet nie znał języka polskiego, ale przecież jakoś potrafił zabezpieczyć się przed wykrzywieniem swego historycznego sądu o historii Polski. Inaczej czynił Karol Marks — po pierwsze nieustannie uczył się języków obcych, co pozwoliło mu docierać bezpośrednio do interesujących go tekstów, nie polegając na uprzedniej, dokonanej przez osoby trzecie selekcji, po drugie — nigdy nie opierał swych sądów o sprawach jakiegokolwiek kraju jedynie na jego piarstwie. Jakże rezultaty przynosiła ta metoda w odniesieniu do spraw polskich, przekonaliśmy się, czytając fascynujące teksty „Przyczynków do historii kwestii polskiej”, wydane u nas w zeszłym roku.

Jeżeli wracam dzisiaj do tych wszystkich, zdawałoby się oczywistych spraw, czynię to nie tylko z racji zainteresowań historycznych. Lektura naszych czasopism wskazuje bowiem, że nie są one całkiem przebrzmiałe i nieobecne w naszej współczesności. Dowodem publicystyczny cykl, ogłoszony zeszłego roku przez „Życie Literackie”, w którym zdecy-

Sądy własne i obce

rzeczywistość, opinie zaś obce, aczkolwiek niezmiernie często w szczegółach nieprecyzyjne, operując szerszą skalą porównawczą, zdolne były dostrzec zjawiska i procesy, dla nas samych jeszcze niedostrzegalne. Bardzo pouczające jest pod tym względem przypatrzenie się obcym sądom o ustroju Rzeczypospolitej szlacheckiej XVII — XVIII w. i konfrontacja ich nie z krytycznymi (boć było wiele takich), ale samospokajającymi, pełnymi zadowolenia z

dziela o naszej historii, musiał wykazać wiele sprytu i ostrożności, aby... nie dać się wprowadzić w błąd Polakom, emigrantom, związanym z księciem Adamem Czartoryskim, którzy usłownie podsuwali mu przetłumaczone już na francuski materiały doprawione tak, by nie można było znaleźć w nich niczego o społecznych konfliktach dawnej Polski, o ucisku chłopów i innych „wstydlivych” sprawach, które — aczkolwiek powszechnie znane — gorli-

JOZEF GRZELAK

Nowe litografie Wacława Kondka



Wacław Kondka — litografia

Ostatnią wystawę Wacława Kondka*) można traktować jako przypomnienie prac znanych już z innych ekspozycji czy reprodukcji, znanych motywów rozwiązanych na nowo lub w innej technice, zaadaptowanych dla grafiki z malarstwa czy ulotnego szkicu. Tych jednak, którzy znajdują się bliżej jego twórczości, uderzą na wystawie przede wszystkim nowe pejzaże nowe rekwizyty, nowe elementy scenografii w teatrze jego wyobraźni. Te rzeczy nie są na pierwszy rzut oka zauważalne, bowiem Kondka nie zmienił ani sposobu rysowania, ani kreski, ani ulubionej obłocności form, ani też nie zrezygnował z ostrych zestawień czerni i bieli, jedynych, które w swojej grafice naprawdę uznaje. (Wszystkie próby wprowadzenia do grafiki koloru, jakie podejmował Kondka, jeśli nawet były udane, traktowane były przez niego zawsze raczej jako skutki ciekawości i eksperymenty warsztatowe a nigdy jako efekt ostateczny pracy nad graficznym kartonem Kondka nie cierpi w gruncie rzeczy grafiki kolorowej czy podmalowywanej, wychodząc z przekonania iż tamie ona podstawowa dla życia grafiki linię, biegnącą właśnie między czernią a bielą) Nie wyszedł również z klimatu swoich dotychczasowych prac

Jakież to nowe pejzaże i rekwizyty na czym polega zmiana scenografii? Otóż Kondka w ubiegłym roku był na plenerze zorganizowanym na Śląsku gdzie zwiedził przy okazji kilka hut i kopalń i właśnie huty, ich wnętrza tajemnicze, groźne i fascynujące zarazem dla niewtajemniczonego, który ujrzał je po raz pierwszy z bliska, posłużyły Kondkowi za pretekst do cyklu litografii, cyklu zapoczątkowanego kilkoma zaledwie planszami. Pamiętam, iż wróciłem ze Śląska podekscytowany i pełen twórczych projektów. Wróciłem pełen podziwu i szacunku dla wysiłku ludzi wykonujących w jego pojęciu pracę alchemików i galerników zarazem, a także podekscytowany tym, co pozostało w hutach starego, z lat dawnych. Tym, co przecieć będzie musiało prędzej czy później ustąpić miejsca nowoczesnej technice. Przypuszczam nawet że niewielką uwagę zwrócił na marteny i całą tę nowoczesną technikę. Ze wzrok jego po-

wędrował od razu od blasku paleńska, od fosforującego weża rozpalonej lawy w mrok, ku zakamarkom hutniczych hal, gdzie spiętrzone konstrukcje stalowe, złom przewody, z dawna nie używane narzędzia są ostatnim azylem. Azylem czego? Hutniczych legend? Gwarkowych bają? Starych sposobów topienia rudy? Krasnali jakichś, które w tych zakamarkach mają tajemne przejścia w głąb swych podziemnych siedzib i warsztatów, istot przyjaznych hutniczej braci? A może po prostu są wspomnieniem jeszcze cięższej pracy ludzi — ojców, dziadków i pradziadków tych, co topią stal dzisiaj. W każdym razie owe mroczne rewiry hutniczych hal ciągnęły Kondka od razu. Gdy inni rysowali nowoczesne konstrukcje, on tam właśnie szukał swojej wizji gigantycznej, diabelskiej kuzni.

Pokazane na wystawie litografie z hutniczego pleneru są pierwszymi dopiero próbami. Nam pozostało czekać, aż Kondka wgrzyzie się w temat, popuści całkowicie wodze swojej wyobraźni, zbrata i pomiesza rzeczywistość z legendą. Cierpliwie czekać, aż przejdzie drogę od Bidaczowa i bidaczowskich diabłów i madonn do zakamarków bytomskich i zawierciańskich hut i do reszty pokuma się z gwarkowymi diabłami.

Ale zanim będziemy mogli obejrzeć wyniki owych konszachtów, do rak naszych wcześniej zapewne trafi nowy album Wacława Kondka o łódzkich pałacach, drukowany staraniem Wydawnictwa Łódzkiego. Po „Ulicy Piotrkowskiej” będzie to jego drugi o Łodzi album rysunkowy, a trzeba dodać, iż ukończył niedawno pracę nad trzecim tego rodzaju zbiorem. Będą to z kolei rysunki łódzkich fabryk, z których wiele, w całości lub we fragmentach, zaliczonych zostało do grupy budowli zabytkowych.

*) Na marginesie wystawy litografii Wacława Kondka w Salonie Współczesnym przy ul. Piotrkowskiej.



A więc sztuka historyczna?*) Romain Rolland podejmował konflikt jak najbardziej współczesny, który dzielił francuską opinię publiczną na zaciekle zwalczające się obozy, wyzwał niepokornie namiętności, wycisnął silne piętno na mentalności całego pokolenia francuskich intelektualistów, którzy w przyszłości będą podkreślali, że ich światopogląd ukształtował się w atmosferze sporów wokół sprawy Dreyfusa. Jeżeli pisarz przeniósł konflikt w doskonale sobie znaną epokę Rewolucji Francuskiej, czynił to nie dlatego, aby swej wypowiedzi odebrać bezpośrednią aktualność, lecz przeciwnie, aby ją zaostrzyć. Przenosił go bowiem w epokę, która była szczególnie bliska francuskiemu widzowi na przełomie XIX i XX wieku, wychowanemu w tradycji Rewolucji niezależnie od tego, jak ją wówczas modelowano: uruchamiał tedy mechanizmy francuskiej historycznej świadomości zbiorowej, aby nakłonić swego widza do wykroczenia poza powierzchniowy ogląd rzeczywistości, zmusić go do wywołania swych sądów spod presji sensacyjnych pogłoszek i spojżenia na aktualny konflikt w szerszych kategoriach moralnych. Jednakże nie byłby Romain Rolland sobą, gdyby zadowolił się tu tylko używaniem historycznego kostiumu. Wykorzystał mianowicie swoją świetną, oraz wcale niezłą orientację widza w historii Rewolucji Francuskiej w sposób szczególny, ukazując historycznych protoplastów stron zaangażowanych we współczesny konflikt w postaciach i postawach, do których żadna z nich sama nie przagnęłaby nawiązywać, dolewając w ten sposób oliwy do i tak silnego już ognia. Jeżeli bowiem francu-

Barwne plakaty wabily przechodniów grupa półnagich Murzynek i Murzynów na tle egzotycznych palm. PLYNIEMY „POLONIA” PO SŁOŃCE AFRYKI! — niech czerwony napis w oknie wystawowym Biura Podróży „Wagons Lits Cook” przy ulicy Piotrkowskiej 68.

Na tę wycieczkę — a w owych czasach były to dla dziennikarzy jedyne okazje zwiedzenia zagranicy — skusiło się dwóch „republikanów”: Szymon Glück-Barylski i Bernard Bezbroda. Szymek, świetny stylistą i uzdolniony literat, marnował w „Republice” swój talent jako sprawozdawca, kryminalny (materiału dostarczał mu reporter Grünfeld) i sądowy (materiału dostarczał mu reporter „wujcio” Askana). Takie podziały funkcji istniały w redakcjach: jeden tylko zbierał wiadomości, drugi tylko pisał. Twórczość sądowo-kryminalną erudyta Szymek uprawiał dla chleba. Zainteresowania miał zupełnie inne — był autorem interesujących powieści, sztuk teatralnych i słuchowisk radiowych. Za jedno właśnie słuchowisko „Miłość, boks i reklama” otrzymał nagrodę w ogólnokrajowym konkursie „Zaeksu”, z tej okazji też zafundował sobie wycieczkę statkiem na „Czarny Łód” i napisał dla nas cykl reportaży.

Benjo zaś natrzaskał swym „Contaflexem” niezliczoną ilość zdjęć. Sztukę fotografowania opanował nie gorzej niż stenografię i pisanie na maszynie. To była jego pasja nr 2. Pasję numer 1 stanowiło jedzenie. Sam mówił o sobie, że lubi zjeść dobrze, ale dużo. Wyglądał jak kwitnący okaz zdrowia, miał pulchną, różową twarz i niezaspokojony apetyt. Codziennie rano posyłał gońca do mieszcącego się tuż koło redakcji sklepu koszernych wędlin Dyszkina po ćwierć kilo aromatycznych odpadków, sprzedawanych po odcięciu sznurków i plomb po o wiele niższej cenie niż krajane w plasterki wędliny i kiełbasy. A że wstyd mu było przed gońcem, za każdym razem mówił mu, że te „abfale” są dla jego psa. Zadekował się następnie w jakimś ciemnym kątku (najczęściej wybierał kabinę telefoniczną, gdzie zamykał się na zasuwkę), urządził sobie ucztę Lukullusa, okładając przyniesione z domu suche bułeczki pachnącymi czosnkiem specjalami.

Pewnego razu gońiec, podejrzewający od dawna Bezbrodę, iż krzywdzi on swego psa, sam zjadając przynieszone delikatesy, wrócił z wędliniarni z rozpromienionym obliczem.

— Ale dziś pan redaktor będzie zadowolony! Powiedziałem, że to dla pieska i pan popatrz jak fajną

kość sprzedawczyni dowazyła!

Jak z tego wynika, Benjo lubił też bardzo oszczędzać. Pod tym względem może tylko jeden Passierman, który zawsze miał przy sobie „ostatnie pięćdziesiąt groszy” i nigdy nie placił w kawłarni za swoje pół czarnej, mógł stanąć z nim w szranki. A Benjo, łącząc umiejętnie dwie swoje pasje, dokazał sztuki nie lada. Osiągnął to,

Fredry oraz ich epigonów. Oto jedna z zapamiętanych przeze mnie fraszek, wchodząca w skład owego poematu, a jedyna, jaką bez obawy że obrażę uszy czytelnika, mogę zacytować (i to po drobnej zmianie w dwóch miejscach, dokonanej zresztą obecnie za zgodą autora). Wstuchajcie się w melodię wiersza, zwróćcie uwagę na potoczność języka, na budowę strofy i nieskazitel-

Nie wzgardził brat ofiarą,
Dłoń zatopił w gnieździe
I przyjął wdowi grosz,
A używszy niezle
„Gratias ago — z pokorą rzekł
do pani dworu —
Lecz tanto było dla mnie...
A co dla klasztoru?”
Przesłanie:
Od zacnego bracijszka weźmy to
wskazanie:
Figiel figiem, lecz służba służą
niech zostanie!

Powielane na maszynie luźne utwory Żańskiego długi czas krążyły wśród jego przyjaciół, aż któryś zebrał je do kupy i bez wiedzy autora, będąc w Paryżu, wydał w formie książeczki w bibliofilskim nakładzie stu dwudziestu egzemplarzy. Jako autor figurował dr Sylwester Podolski, który to pseudonim nasz kolega sobie z czasem przyswoił. Pełne finezji ryciny do poematu Żańskiego dorobili tacy mistrzowie piórka i ołówka jak Kazimierz Grus oraz Stanisław Dobrzyński. Jeden z numerowanych egzemplarzy, nie wiadomo do dziś, w jaki sposób, trafił do Marszałka Piłsudskiego, ponoć konesera w tej dziedzinie. Uratowało to zresztą naszego kolegę przed przykrymi konsekwencjami, bo gdy skojarzono go z owym dr Podolskim i chciano pociągnąć do odpowiedzialności za pornografię, ktoś dał cynk do Belwederu i z kancelarii marszałkowskiej pchnięto do

Łodzi umyślnego, a ten z miejsca sprawę zatuzował.

Szymek za swej podróży do Afryki przywiózł jedną tylko pamiątkę — efektowne golfy. Wtedy była moda na takie spodnie, które bez względu na wiek nosiło się do zwykłych pantofli i kolorowych, długich pończoch. Nic tedy dziwnego, że gdy Szymek zobaczył na straganie w porcie afrykańskim bajecznie wzorzyste „pumpy”, kupił je bez wahania, choć ten wydatek mocno nadwyreżył jego i tak chudą sakiewkę. I zaraz pierwszego dnia po powrocie zjawił się w nich w redakcji, budząc wśród nas podziw i zazdrość zarazem.

Ale nic nie trwa wiecznie, więc któregoś dnia puścili szwy w afrykańskich golfach. Szymek zaniósł je do „Pogotowia krawieckiego” Kiersza (działała wówczas w Łodzi taka instytucja na rogu Żeromskiego i Podleśnej), prosząc o naprawienie spodni. Majster popatrzał na golfy fachowym okiem i skrzywił się:

— Już nie stać było pana redaktora na nic lepszego?

— Co pan mówi? — oburzył się Szymek — Golfy są zagraniczne! Sam je kupiłem w Afryce!

— To nie ma nic do rzeczy. Brzezińska konfekcja. Mit o zagranicznych pumpach rozwił się, wszyscy w redakcji odetchnęliśmy z ulgą. Golfy nabyte przez Szym-

ADAM OCHOCKI

Golfy z Afryki

co nikomu się nie udało: on jeden ze wszystkich śmiertelników zarobił na słynnym poemacie Andrzeja Żańskiego „Turniej rycerski” (tytuł nie pełny). Przy tym to utworze naszego kolegi redakcyjnego błędą zdecydowanie wszelkie plody ducha sędziwego Wacława Potockiego, nestora tego gantunku twórczości, hrabiego

na wersyfikację, opartą o klasyczne wzory naszych wielkich mistrzów:

Prosił kwestarz dziedzieczkę
trzos wskazując próżny
O wsparcie. Alie ona, szędząc
mu jatmużny,
Narzeka: „Ciełkie żniwa,
chorobsko w oborze,
Chyba, że ci w ofierze cnotkę
moją złożę”.

POŁKA Książka Mi

CONRAD W POLSCE

Oto jeszcze jedna publikacja dla miłośników twórczości Józefa Conrada. Wydawnictwo Morskie zamierza wydać serię książek, poświęconych życiu i twórczości autora „Lorda Jim’a”. Właśnie ukazała się kolejna pozycja z tego cyklu: „Conrad w Polsce” powstał jako rozprawa doktorska. Obecna wersja, jak pisze o tym w przedmowie autor, Stefan Zabierowski, jest wersją skróconą i zmienioną tamtej doktorskiej pracy. Książka posiada wiele zalet. Pierwsza i naczelna zaleta: podsumowuje dzieje recepcji Conrada w Polsce od początków, tj. od schyłku ubiegłego stulecia, aż po rok 1989. Conrad, który cieszył się w Polsce powodzeniem i dzieło jego przyjmowane było ze zrozumiałą sympatią, miał także wrogów, żeby wspomnieć Elżbę Orzeszkową, która zarzuciła mu zdradę kraju. Stefan Zabierowski w chronologicznym, przejrzystym skomponowanym układzie swojej książki, omawia w kolejnych rozdziałach takie problemy, jak: dlaczego Conrad wyjechał z Polski, dlaczego został pisarzem

angielskim, dlaczego do Polski nie wrócił itp. W części drugiej, poświęconej tradycjom kulturowym i literackim, Stefan Zabierowski snuje rozważania porównawcze w rozbudowanym rozdziale pt. „Conrad a romantycy polscy”.

Książka, zawierająca przypisy oraz bibliografię prac polskich o Conradzie, jest nie tylko doskonałym przewodnikiem, może również ułatwić poszukiwania i badania entuzjastom Conrada.

JK.

* Stefan Zabierowski: „CONRAD W POLSCE”, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1971, cena z 35,-.

UTWORY ODNALEZIONE

Nowy tom prozy Izaaka Babla *) pewno już zniknął z księgi „Utworki odnalezione” dopełniają naszą wiedzę o pisarzu — uzupełniając poprzednie zbiory. Te książki, podobnie jak wszystkie, zawdzięczamy niestrudzonej i troskliwej pracy J. B. Priestleya — tłumacza i tropiciela śladów literackich tragicznie zmarłego pisarza Konacmil — Jerzemu Pomianowskiemu.

W nowym tomie Babla oprócz dwudziestu dwóch nowych opowiadań, przetłumaczonych po raz pierwszy na polski, znajdziemy artykuły, odczyty, przemówienia, scenariusze filmowe, sztukę teatralną... I oczywiście wyjątkowy rarytas literacki — dziennik Babla z roku 1920. Ów dziennik — strzępy obserwacji, strzępy dialogów, szybko, nerwowo notowa-

ne, refleksje, zdarzenia i obrazy — to przecież nie innego jak jeden z najbardziej wstrząsających, literackich obrazów wojny przetworzony później w tom opowiadań „Armia Konna”.

Pomianowski napisał, że Babel nie szczędził sobie i nam żadnej prawdy, jego „Armia Konna” jest pełna opisów bezlitosnych i okrutnych. Ale jest to literatura prawdziwa aż do bólu, może właśnie dlatego wywołała protesty kombatantów?

Babel sądził bowiem, że po to się robi rewolucje, aby w przyszłości już nie trzeba było bliźnich ani dręczyć, ani okłamywać. Prawdomówność Babla jest bezwzględna, tak, jak doświadczenia w szukanu cech ludzkich na skrajach człowieczeństwa. Z wyroku historii zginął na tym skraju w roku 1937, choć dała jego śmierci jest niepewna i nieznanie jej miejsce.

*) Izaak Babel, „UTWORY ODNALEZIONE”, Czytelnik 1971, cena 30 zł.

DWIE KSIĄŻKI PRIESTLEYA

Te dwa spore, około 500-stronicowe tomy, czyta się gładko i ciekawie. Przegląd i pomysły profesora Saltana i dr Tuby opowiedziane są dowcipnie, akcję śledzi się jak zajmujący film, J. B. Priestley krąży ze swym krzywym zwierciadłem w środowiskach naukowych, wśród ludzi prasy, radia i telewizji, wśród businessmanów i polityków.

J.W.

„Londyn” i „Poza miastem” są znakomicie i lekko napisanymi powieściami satyrycznymi. I może nie byłoby powodu po zamknięciu książki wracać z głębszą refleksją do tego typowego „czytadła”, gdyby... Właśnie. To nie są zwyczajne „czytadła”. Priestley zawarł bowiem w tych książkach ogromnie dużo gorzkiej prawdy o świecie. Te pozornie blahe opowieści o nieprawdopodobnych pomysłach dwu humanistów kryją pod warstwą zabawnej fabuły treści bardzo istotne i ważne. Znajdziemy tam wiele gorzkich konstatacji na temat funkcjonowania propagandy, na temat cynizmu w środowiskach angielskich bonzów partyjnych, na temat przypadkowości karier politycznych... To naprawdę nie tylko blaha historyjka o dwu zabawnych naukowcach.

Dwaj intelektualści nie traktowani są zbyt poważnie przez tych, którzy mają władzę i pieniądze. Ale to w końcu oni — ci dwaj niepoważni i niegroźni intelektualści wygrywają z potężnym światem biznesu i polityki. Wygrywają, bowiem dźwierz potężny atut: wiedzę o mechanizmach poruszających tryby pieniądza i władzy. Wiedzę o słabościach i kompleksach tego świata. Niby nie — wiedza. Ale ona pozwoliła wygrać bohaterom książek Priestleya.

J.W.

J. B. Priestley, „LONDYN”, „POZA MIASTEM”, Książka i Wiedza 1971, cena 64 zł.



„BŁĘDNY OGNIEK” Louis Malle’a, film, o którym było głośno w roku 1963, ma polską premierę w roku 1972, sytuacja tyle typowa, co nie bardzo zrozumiała. Typowa dla drogi docierania wielu filmów na nasze ekrany, niezrozumiała, gdyż żadne racje, ani ideowe, ani artystyczne, ani wreszcie finansowe nie tłumaczą tego opóźnienia. Wymieniam te najbardziej oczywiste, determinujące repertuar polskich kin czynniki, nie tylko dlatego, że nie wchodzi one w grę w przypadku „Błędnego ognika”, ale głównie dlatego, że brak podobnych wytłumaczeń obejmuje rok w rok olbrzymią ilość filmów, o których w świecie się mówi, filmów, które znacznie wcześniej oglądają na przykład widzowie węgierscy czy czechosłowaccy, a na które widz polski czeka latami, a często nie obejrzy nigdy. Nie ma chyba zbyt wielkiej przesady w mówieniu o czekaniu na filmy: przy współczesnej bazie informacyjnej wcale znaczna część wymagającej już dziś publiczności ma prawo żądać przynajmniej pewnego stopnia aktualności repertuaru światowego.

Ma prawo również po licznych doświadczeniach, których i „Błędnym ognikiem” jest przykładem, wątpliwość w sprawność działań Filmowej Rady Repertuarowej i instytucji, zakupującej filmy, a także operatywności w procesach opracowań i produkcji kopii. Ogromna jest lista filmów, którym drogi na polskie ekrany nie zamykają ani zastrzeżenia ideologiczne, ani zbyt trudna dla szerokiego odbiorcy forma artystyczna, ani wreszcie to, czym tak często się szermuje — zbyt wygórowane żądania zagranicznych producentów. Sygnałem, iż coś w naszym kwalifikacji zakupu i dystrybucji nie funkcjonuje sprawnie, są również dziwne nieprzemysłane premiery filmów, zwłaszcza tych reżyserów, których twórczość widz chciałby znać nie tylko w prawie pełnym wymiarze, ale również w jakiejś reprezentacyjnej dla jej rozwoju chronologii, wspomnijmy tu choćby tylko przedwzrostłe losy filmów Ingmara Bergmana. Sprawa dziś podjęta, powraca systematycznie jako rzecz do sensownego uregulowania, a

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

przecież chodzi w końcu tylko o te dwadzieścia pięć filmów w roku, one wśród 180 zakupionych muszą być dobrane z myślą o tej wcale niemałej już grupie widzów, którzy śledzą dzieje światowego kina i nie tylko do informacji prasowej czy ustnej chcą się ograniczyć. Oni też z sympatią przywitają „Błędnego ognika” Malle’a, że nie obejrzał go dziesięć lat temu i w jakimś stopniu usatysfakcjonowani możliwością przypomnienia sobie poszukiwań francuskiej „nowej fali” i pewnej ich konfrontacji z dniem dzisiejszym światowego filmu.

Reżyser Louis Malle związany z „nową falą” może traktować „Błędnego ognika” jako swój najwybitniejszy film tamtego okresu, co i my, oglądając go latami, możemy potwierdzić. Filmy starzeją się szybko, próba lat jest dla nich często zabójcza, nawet dla tych, które w dniu premiery znaczyły wiele. „Błędnym ognikiem” też nieco się zestarzał, wywietrzały pewne aluzje polityczne, raczej powierzchownością akcenty, ongi przecież mocne, krytyki wobec określonych środowisk francuskich intelektualistów i tzw. górnych sfer. Widać, że Malle analizuje to środowisko dość bezlitosnie, akcentując jego bezideowość i upadek moralny, ale po wielu latach jego film podobać się może głównie jako bardzo precyzyjne studium 24 godzin życia człowieka, który postanowił popełnić samobójstwo. Trudno nam identyfikować się w pełni z przeżyciami pana, który wypalony wewnętrznie, przekroczył już lat trzydziści kilka, nie zdolny do przejęcia bariery wieku mądrej dojrzałości, tonie w alkoholu, kompleksach seksualnych i pełnej niemożności aktywnego życia. Podoba się jednak bardzo delikatny klimat tych wszyst-

kich rozterek, docieklivości rysunku tak wewnętrznego portretu bohatera, jak i otaczającego go świata ludzi i przedmiotów. Stary duch „nowej fali” i jej największych osiągnięć wyciera z każdego kadru i każdego ujęcia, widzimy go w aktorstwie Jeanne Moreau i Maurice Roneta, w wykorzystaniu muzyki. To spotkanie ze starym przecież filmem nie sprawia rozczarowań, tylko po co na to ewentualne ryzyko tak często filmy w Polsce się naraża?

☆ ☆ ☆

Niejednokrotnie mieliśmy już okazję stwierdzić, iż Polaków i Węgrów poza przyjazną iączy jeszcze jeden drobiazg — jedni i drudzy nie bardzo umieją robić komedie. Na polskich komediach śmiejemy się od czasu do czasu, toteż i na węgierskich może to nam się też zdarzyć. Komedie „RYCERZ SZKLANEGO EKRAŃU” Istvána Baackála z czystym sercem polecać może trudno, ale trudno również zaprzeczyć, że w swym zamierzeniu komediowym realizatorzy trafili w dziesiątkę. Historia zawrotnej kariery młodego człowieka, który w ciągu kilku tygodni stał się bożyszczem węgierskich widzów czyli praktycznie 99 procent obywateli naddunańskiej krainy, ma być satyrą na mechanizmy wpływów środowisk masowego przekazu. Trochę więc kpiny z telewizji, z seriali, z ludzi, którzy tę hecę robią i tych, którzy dają się w nią wciągnąć, trochę poloników, bo i o panu Stanisławie Mikulskim mowa, trochę zabawy, ale w sumie wszystkiego nie za wiele. Tak jak i w polskiej komedii.

EWA NURCZYŃSKA

OBIEKTYW

TWARZĄ W TWARZ ZE ZBRODNIĄ

Bywają w telewizji tygodnie jałowe, gdy wybór tematu dla Tele-obiektywu następuje mi poważne trudności. Tym razem ponury i wstrząsający trytyk filmowy Józefa Blachowicza wysunął się zdecydowanie przed wszystkie inne emisje. (Telewizja Warszawa: „Oblicze zbrodni: 1. Pożar wymazał ślady; 2. Morderca nie przyznaje się do winy; 3. Obrona Adama” — reportaż filmowy; realizacja — Józef Blachowicz; produkcja — ZPFT 1971; emisja — 15-17. II. 1972).

Józef Blachowicz dał się już nie od dziś poznać jako mistrz telewizyjnego reportażu. Za twórczość na tym polu w roku 1970 otrzymał nagrodę „Złotego ekranu” (wyróżniona wówczas programy: „Gorzki smak wody”, „Sporo rok trzynasty” i „Miejsca, w którym żyjemy”). Tematykę swoich reportaży czerpie on z życia współczesnej wsi polskiej, wybierając przy tym sprawy trudne, opierające się jednoznacznej, uproszczonej ocenie.

Charakterystyczny jest ton reportaży Blachowicza. Nie ma w nich nic z efekciarstwa, tej cechy, którą tak często odkryć można w programach innych reporterów telewizyjnych (choćby Eugeniusza Pacha). Miejsce tego zajmuje autentyczne zaangażowanie w poruszane problemy i pogłębiona refleksja.

135 minut leżący w sumie trytyk „Oblicze zbrodni” dotyczył procesu zbrodniczej rodziny Zakrzewskich ze wsi Rzepin w województwie kieleckim. Sprawa ta wstrząsnęła swego czasu opinią publiczną, ale w reportażu Blachowicza odżyła z nową siłą, jaką mógł jej nadać tylko ekran telewizyjny.

Pasmo zbrodni Zakrzewskich, dokonywanych od lat i z premedytacją, nie ma w sobie nic z uroku westernów, czy filmów gangsterskich. Nad biedną wsią świętokrzyską Rzepin od kilkunastu lat wisiała dławiąca i paraliżująca strachem atmosfera wytworzona przez ponawiające się okrutne morderstwa rabunkowe. Wyrobic lata całe nie domyślano się też, że napady i zabójstwa są dziełem sąsiadów zza miedzy, z którymi stykano się w oplotkach, na polu, czy w kościele.

Dopiero ostatni bestialski i masowy mord dokonany przez Zakrzewskich w Dzień Zaduszny w 1969 roku na całej rodzinie Lipów, dopełnił miary zbrodni. Trzej Zakrzewscy: ojciec Józef i synowie Czesław i Adam ujęci zostali przez organa milicyjne i stanęli przed sądem. Proces ten odsłonił oblicze zbrodni, a Blachowiczowi dostarczył materiału o ogromnej sile sugestywnej.

Film Blachowicza, daleki od pogoni za sensacją, rozprawa się z pewnym typem obyczajowości wiejskiej. Polegała ona (można chyba w stosunku do niej użyć czasu przeszłego, gdyż coraz bardziej należy do przeszłości) na swoistej społecznej tolerancji dla zbrodni. Ież to weseli i zabaw wiejskich kończyło się zabójstwem, dokonywanym jawnie, na oczach całej wsi!

Ciężkie pobicie, zarabianie siekierką, czy orczykiem sąsiada, lub kolegi mieściło się jakoś w tej obyczajowości, nie spotykało z należytych potępieniem ze strony społeczności wiejskiej. W takiej właśnie atmosferze pobłażania dla zbrodni mogły egzystować i działać kreacjory ludzkie w rodzinie Zakrzewskich, dla których zamordowanie sąsiada było czynnością tego samego rzędu, co żaranie pola, czy wysłuchanie niedzielnej mszy z kazaniem.

Kamera filmowa towarzyszyła sprawie Zakrzewskich niemal od początku, od wizji lokalnych i żmudnych prób rekonstrukcji zdarzeń, poprzez śledztwo pełne sprzecznych reznah podejrzanych, aż po końcowe przemówienie prokuratora na rozprawie. Ujawniła się przy tym przerażająca osobowość poszczególnych członków zbrodniczej rodziny, ich tepota, absolutny brak hamulców moralnych, owa moralna insania wykluczająca ich ze społeczeństwa.

Śledząc reakcje i zachowania się oskarżonych, ich ujawniające się uczucia i lzy poniewczasie, widz mógł sobie, dzięki filmowi Blachowicza, wyrobić własne zdanie o sprawie. Zakrzewscy sami się oskarżali w naszych oczach i sami wydalili na siebie sprawiedliwy wyrok. Reportaż telewizyjny prowadził do właściwych ocen moralnych i jego wagę społeczną trudno wprost przecenić.

WLADYSŁAW ORŁOWSKI

spektakle tygodnia

ZA OKRES OD 7 DO 13. II. 1972 R.

TEATRY

	Hość spektakli	Liczba widzów	Proc.
WIELKI			
„Królewna Śnieżka”	1	1260	100
„Aida”	1	1260	100
„Henryk VI na łowach”	1	1021	81
„Jeziorko łabędzie”	1	1260	100
„Straszny dwór”	1	1260	100
NOWY			
„Zołnierz i bohater”	4	2800	100
„Sprawa Dantona”	2	1400	100
„Idiota”	2	1320	80
NOWY			
Mała Sala			
„Kociol”	2	400	100
„Rodeo”	1	200	100
„Ofiary obowiązków”	1	160	80
POWSZECHNY			
„Perła”	3	1980	100
„Królewskie polowanie na słońce”	1	1100	90
„Zatopione królestwo” (bajka)	1	650	100
JARACZA			
„Szkłanka wody”	2	1102	100
„Molière”	2	668	65
„Kartofel”	1	334	65
„Tajemniczy ogród”	3	1622	98
7.15			
„Po górach, po chmurach”	6	1894	75
OPERETKA			
„Kaper królewski”	1	5526	85
FILHARMONIA			
Koncerty	2	1400	95

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

MAN RAY — WYSTAWA RETROSPEKTYWNA

W Muzeum Sztuki Nowoczesnej miasta Paryża odbywa się interesująca wystawa retrospektywna 42-letniego artysty, jednego z ostatnich żyjących do dziś dadaistów.

Zaden z artystów, prócz Marcela Duchampa, nie gardził tak estetyzmem w sztuce jak Man Ray.

Urodził się w Filadelfii w roku 1890. Momentem przełomowym w jego życiu było małżeństwo z Francuzką. Był już wtedy malarzem i miał za sobą studia architektoniczne. Pod wpływem żony Man Ray pasjonuje się kulturą francuską, zachwyca poezją. Oczarowują go „Illuminacje” Rimbauda, rozczytuje się w tajemniczych, ciemnych strofach „Śpiewów Maldorora” Lautréamonta, zapoznaje się z innymi twórcami francuskimi. W roku 1913 ogląda wielką wystawę sztuki nowoczesnej w Nowym Jorku, gdzie widzi

plótna Matisse'a, Braque'a, Kandinskiego, Légera, Picassa i sławną, która wywołała w Ameryce tyle rozgłosu i kontrowersji, „Naga kobieta schodząca po schodach” Marcela Duchampa. Osobiste poznanie Duchampa staje się dla amerykańskiego malarza dużym przeżyciem. To Duchamp pierwszy wprowadził do sztuki ready-made, zwykle przedmioty użytkowe, wyobcowane ze swego normalnego otoczenia, ukazane w nowych układach. Bliski był w tym Man Rayowi, który już przedtem próbował zestawić w sposób nieoczekiwany różne przedmioty obok siebie. Man Ray i Duchamp zakładają w Nowym Jorku grupę artystyczną o programie zbliżonym z tym, jaki wyznają założyciele ruchu Dada w Szwajcarii. Ale podczas gdy Duchamp pozostanie w Ameryce, twierząc, że tu lepiej ludzie odbierają jego sztukę, Man Ray wyjeżdża do Francji aby rozwinąć tam swój talent.

W roku 1921 uczestniczy

w paryskiej wystawie dadaistów pokazując m. in. „Prezent” — zwykle żelazko do prasowania, do którego w spodzie artysta powbił szereg gwoździ. Jeszcze nieraz Man Ray



„Cadeau” (1921)

Man Ray (1972)

był dawał nazwy swym dziełom w ten sposób, by przez słowne określenia wywołać dowolne lub zaskakujące skojarzenia. Korzystając z podobnego brzmienia francuskich słów „pain peint” (malowany chleb) pokaże na wystawie kawałek chleba pomalowany na niebiesko. Innym razem namaluje „Skrzypce Ingresa”. Jak wiadomo, słynny malarz Ingres miał hobby — grę na skrzypcach, choć grywał na nich raczej kiepsko. W języku francuskim powiedzenie „Skrzypce Ingres” (Violon d'Ingres) zastąpiły słowo hobby tak jak w naszym języku mówi się o tym, że ktoś ma swojego „konika”. Czasem zdarzały się Man Rayowi nieoczekiwane przygody. Oto na jednej z wystaw pokazał „Metronom z okiem” opatrzone dzieło dodatkowym napisem: „Przedmiot do zniszczenia”. Zwiędzający wystawę studenci zrozumieli to dosłownie i zniszczyli go. Wobec tego na następnej wystawie Man Ray opatrzył swe dzieła napisem: „Przedmioty nie do niszczenia”.

normalnie wywołuje odbitek fotograficzną. Dziś ta technika jest bardzo znana i spopularyzowana. Na obecnej wystawie w Muzeum Sztuki Nowoczesnej znajduje się około 300 eksponatów, zarówno obrazów, rysunków jak i przedmiotów-rzeźb.

ŚPIEWAJĄCE FONTANNY

W mieście Erewan, stolicy Armenijskiej SRR na placu Lenina śpiewają fontanny. Nie jest to przeznaczenie. Istotnie, gdy nad miastem zapadnie wieczór i ku niebu tryskają barwne fontanny, słychać muzykę. Są to ormalne ludowe melodie lub utwory klasyczne różnych kompozytorów z różnych stron świata. Koncertowi towarzyszy szmer fontann oraz zmiany barw i wysokości strumienia. Nad synchronizacją muzyki i barw zastanawiało się wielu artystów. Obecnie barwo-muzyka interesują się nie tylko kompozytorzy, ale i specjaliści z dziedziny radiotechniki, elektroniki, automatyki. W Moskwie i Charkowie wy-

świetlane są barwo-muzyczne filmy, organizuje się koncerty barwo-muzyki. Śpiewające fontanny — to pierwsze tego typu urządzenie w ZSRR. Autorem tego zrealizowanego projektu jest prof. dr A. Abramian z Instytutu Politechnicznego w Erewaniu.

Na jakich zasadach oparte jest urządzenie? Otóż kierowanie wysokością i kształtem fontann przebiega nieprzerwanie w synchronizacji z dźwiękami melodii. Pomogło do tego zastosowanie automatyki. Podstawowym barwom widma, czerwieni, zieleni i barwie niebieskiej odpowiadają niskie, średnie i wysokie tony (o odpowiedniej częstotliwości drgań). Cały zakres dźwięków podzielony jest na trzy podzakresy przy pomocy specjalnych filtrów. Jednocześnie z transponowaniem efektów świetlnych i dźwiękowych na fontanny, działa system automatycznego regulowania wysokości i formy strumienia fontann. W Erewaniu odbywają się też barwo-muzyczne wieczory poświęcone twórczości wielu kompozytorów.

WALENTIN PIETROWICZ KATAJEW UKOŃCZYŁ 75 LAT

Walentin P. Katajew, radziecki powieściopisarz i dramaturg, którego twórczość znana jest dobrze polskiemu czytelnikowi, ukończył 75 lat.

Debiutował zdumiewająco wcześnie bo mając lat trzynaście. W latach 1910 do 1913, a więc wieku lat 13 do 16 opublikował ponad 30 wierszy w

gazetach odesskich i ilustrowanych czasopiśmie petersburskich. Pierwsze swoje opowiadania publikował w roku 1912.

Gdy wybuchła wojna światowa, Katajew mając lat osiemnaście wstąpił do wojska na ochotnika i walczył na froncie w artylerii. Później w Odessie bierze udział w walce rewolucyjnej po stronie Armii Czerwonej. W roku 1922 przenosi się do Moskwy. Pisze wiele opowiadań baśniowo-fantastycznych jak „Żelazny pierścień”, powieści fantastyczno-przygodowe jak „Wyspa Erendorf”, będąca satyryczną polemiką z Erenburgiem. Ogromną popularność zdobywa m. in. utworami satyrycznymi: „Defraudanci”, „Kwadatura kola”, „Milion udręk”.

Tematykę produkcyjną budownictwa socjalistycznego podejmuje pisząc m. in. powieść „Czasie, naprzód”. W okresie Wojny Ojczyźnianej jest korespondentem dzienników „Prawda” i „Krasnaja Zwiezda”. Pisze „Opowiadania wojenne” i sztuki sceniczne „Błękitna chusteczka” i „Dom rodzinny”. Za powieść dla młodzieży „Syn putku” otrzymuje w roku 1946 nagrodę państwową.

Znany i bardzo popularny jako autor książek dla młodzieży. Napisał cały cykl opierając się często na materiale autobiograficznym. Najbardziej znane są: „Za władzę Rad”, „Samotny biały żagiel”, „Pokoje chatom”. Utwory Katajewa charakteryzują się żywą narracją i wielkimi walorami dydaktycznymi.

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

- K. BADZIAK — Raportu nie będzie.
- T. SZEWEKA — In vino feritas
- A. KOWALSKI — W trosce o ład i porządek

oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna.



Violon d'Ingres. 1925.



BRONIEWSKI

POETA AUTENTYCZNY — KONFERENCJA NAUKOWA UL — SYMBOL ZAANGAŻOWANIA — WIER-SZE LOPOCĄCE POLSKĄ — MAŁOŚĆ SŁOWA — TRAGICZNA TWARZ POETY

Był poetą tak na wskroś autentycznym, tak — nie bójmy się dziś tego słowa — wielkim, że nawet najbardziej ekstremistyczni wrogowie romantycznych tradycji poetyckich uznawali Jego wielkość. Przeciwnie artystycznie zupełnie dalekie od Jego poezji dokonania (czy próby?) „Orientacji Hybrydy” odbywały się pod patronatem Władysława Broniewskiego. A dziś „nowy romantyzm” najmłodszego pokolenia poetów jest chyba coraz bliższy tonacji i postawie ideowej Broniewskiego.

Rzecz dziwna, ale poezja Broniewskiego, który ba-

wrzucał, który treści ogromne, polityczne i publicystyczne, przetwarzał w najwyższej próbie wiersze — mało jakos zajmował się teoretycznymi literatury. Oczywiście nigdy nie narzekał na brak „publi-cy”, ale wszechstronnego, wnikliwego skomentowania swojej twórczości nie doczekał za życia.

W dziesiątą rocznicę śmierci Władysława Broniewskiego Zakład Literatury Polskiej UL wraz z Kuratorium Okręgu Szkolnego m. Łodzi i Ośrodkiem Metodycznym zorganizował konferencję naukową. Tłumy młodzieży studenckiej, sporo nauzo-cieli... nikt z tzw. kre-

gów oficjalnych. W czasach, gdy pojęcie literatury zaangażowanej nabierało innych, nowych znaczeń. A przecież to właśnie Władysław Broniewski — Jego poezja i Jego sprężynię z poezją życie — jest najautentyczniejszym symbolem prawdziwie ideowego, niesfałszowanego zaangażowania.

Na konferencji przedstawiono trzy referaty i trzy komunikaty naukowe. Z kronikarskiego obowiązku odnotujmy. Doc. dr hab. Helena Karwacka (UL) — „O juveniliach Władysława Broniewskiego”, doc. dr hab. Tadeusz Bułnicki (UJ) — „Z zagadnień tradycji literackich Władysława Broniewskiego”, dr Felicia Lichodziejewska (IBL) — „Z zagadnień recepcji poezji Broniewskiego”. Komunikaty naukowe przedstawił pracownicy UL — mgr Dorota Chrościewska — „O Trzech Salwach”, mgr Grzegorz Gazda — „Poezja walką” — z poetyki „Ziemni na lewo”, i „Trzech salw” oraz mgr Witold Parniewski — „Władysław Broniewski i Włodzimierz Majakowski”. Przypomniano więc tę postać z całym naukowym aparatem badawczym, przywołano dawne spory

wśród lewicy wokół twórczości Broniewskiego, spory, które są przecież także świadectwem powstawania i manewrów artystycznej krytyki i estetyki marksistowskiej. Przypomniano ową wolę polskiej prawicy, która patriotyczny „Bagnet na broń” usiłowała przedstawić jako zerwanie poety z dawnymi idealami... Wolta tyleż fałszywa, co żalonna. Był przecież Broniewski zawsze piewą polskiej lewicy, choć w różnych momentach dziejowych akceptowano go z trudem. Miał serce niepokorne i tą swoją własną wiarą idealną, której nie chciał przymierzać do zakrętów historii i doraźnych koncepcji politycznych. Nad Jego wierszami wciąż łopotała Polska.

„Polska przemienionych kolodziejów, potrzebniejsza niż powiastę... Widzę kolobrot dziejów w wislanym wietrze”.

Ale był przecież także poetą ludzkiego bólu. W „Drzewie rozpaczającym” oplakiwał śmierć żony w obozie zagłady. Ale wia-

domość okazała się mylna — Maria Zarebńska ocalała z pożoży, lecz na krótko. Zmarła wycieńczona obozem na progu wolności. „Drzewo rozpaczające” nabrało jeszcze tragiczniejszych znaczeń. A potem tragiczna śmierć córki, zaklęta w tom „Anka”.

„Moja córka, moja córka umarła... Jak sercu powiedziałem: nie płacz, kiedy rozpacz serce przeżarła, a to serce wyrwać i zdeptać”.

Wiersze bezradne wobec małości słowa, wobec ogromu cierpienia. „Chciałbym wiersz napisać o wielkim kołhanu — nie to!”. Wstrząsające wyznania poety. Władysław Broniewski w świadomości powszechnej pozostaje jako poeta wielkich zwycięstw. A był przecież także poetą ludzkich dramatów. Obok „Trzech salw” było i „Drzewo rozpaczające”, obok „Nadziei” była i „Anka”. Tę drugą — tragiczną twarz Jego twórczości też trzeba odkryć.

JERZY WIDOK

Bez strachu

U FRYZJERA

Pewnego dnia znajomy Doktor umyślił się ostrzyć i bardzo rad z tego szczęśliwego pomysłu udał się do fryzjera. Szedł, szedł ulicami i myślał, jak pięknie będzie wyglądać jego głowa podstrzyżona, subtelnie wycieniowana, uwymuskolona. Tak idąc Doktor spotkał psa — kudłatego kundla. Doktor lubił zwierzęta, a pies poczuł sympatię do Doktora i ruszył za nim, trzymając nos przy doktorskiej nodze. Doktor dotarł do fryzjera i usiadł w wygodnym fotelu. Pies usiadł nieśmiało w progu zakładu i spoglądał na strzyżonego Doktora. „Gorąco!” — powiedział fryzjer. Istotnie nawet drzwi zakładu były otwarte z powodu upału... „Gorąco!” — mówił fryzjer — „nawet człowiekowi, zwłaszcza, kiedy nie ostrzyżony”. „O, tak” — powiedział Doktor — „kiedy się ostrzyć, to mniej gorąco”. „Nia mogę zrozumieć” — mówił fryzjer — „ludzi, którzy żują czas i grosz na strzyżenie. Przecież człowiek, nie tylko zresztą człowiek, kiedy ostrzyżony to i ładniej wygląda i lepiej się czuje. ba, człowiek, każde żywe stworzenie, kiedy ostrzyżone, to zaraz inaczej się przedstawia. Ja tam bym strzył wszystkich i wszystko, nawet psa”. „Nawet psa” — powiedział Doktor. „Takiemu psu” — mówił fryzjer — „to dopiero musi być gorąco, zwłaszcza, jeżeli kudłaty...” „Tak” — powiedział Doktor — „kudłaty pies męczy się w czasie gorąca”. „A zatem” powiedział fryzjer — „ostrzyżony psu” „Ja” — powiedział Doktor — „nie zgłaszam sprzeciwu...”. „Władek!” — wołał fryzjer — „Władek! Weź i ostrzyż psu!”. Przyszedł Władek, wziął psa na ręce, postawił na krześle. Pies liźnął Władka po rękach, Władek strzył psa, fryzjer strzył Doktora. I stało się, że ostrzyżeni byli jednocześnie: Doktor i pies. I powstał ostrzyżony Doktor z fotela, a wyjąwszy portfel z kieszeni swojej zapłacił fryzjera o zapłatę. „Sześćdziesiąt pięć złotych pan szanowny płaci!” — powiedział fryzjer. „Za co?” — zawołał Doktor w zdumieniu. „A pięćdziesiąt złotych za siebie, a pięćdziesiąt za psa”. „Przecież to nie moje zwierzę!” — zawołał Doktor. „Kazał pan jednak psu ostrzyć!” — powiedział fryzjer. „Nieprawda” — mówił Doktor — „ja tylko nie sprzeciwiłem się, kiedy pan chciał psu ostrzyć. Nie zleciłem panu nic w tej sprawie w sensie pozytywnym”. „A jednak pan zapłacił”. „Mowy nie ma, niech pies sam płaci. Kiedy mu się zachciało wygody i elegancji!” Mało ważne, kto w końcu zapłacił. Wiadomo, co myślał o całej sprawie Doktor, wiadomo, co myślał fryzjer, wiadomo, co myślał Władek, wiadomo nawet, jak sprawę oceniał pies. Jedna tylko rzecz jest w tej kwestii zupełnie niewiadoma. Przecież całe towarzystwo rozszło się wreszcie, każdy poszedł do domu. Otóż, co pomyśleli właściciele psa, kiedy ten przyszedł do domu wystylizowany miłym strzyżeniem na małego, pięknego lwa.

BERNARD SZTAINERT

Następna ofiara

Dokończenie
z poprzedniego numeru

Lekarz spojrział zdziwiony na detektywa. — Pan chyba żartuje!

— Co za głupstwa! — zaprotestował Willard prawie ze złością.

Poirot upierał się przy swoim: — Czyli nie wierzycie w te rzeczy? — zapytał anielskim tonem.

— Nie, proszę pana — odpalił Ames. — Ja wierzę tylko w to, co mówi nauka.

— Czyżby w starożytnym Egipcie nie istniała nauka? — zaprotestował Poirot. — Powiedźcie mi, co o tym myślał tubylec, który u was pracują.

— Muszę przyznać, że są bardzo wystraszeni, jakby pan powiedział. Lecz ich lęk jest pozabawiony logiki.

— Chciałbym panu przyznać rację — mruknął Poirot.

— Chyba mi pan nie powie, że wierzy w... Do diabła, to byłoby absurdalne! — zdziwił się Michael.

Poirot wyciągnął z kieszeni połówkę i zniszczoną książeczkę. Gdy ją podawał swemu rozmówcy zdążył przeczytać tytuł: „Sztuka magii wśród Egipcjan i Chaldejczyków”.

Następnie mój przyjaciel odwrócił się i wyszedł z namiotu.

Gdy go dogoniłem, stał z byłym sekretarzem zmarłego Bleibnera.

— Należę do ekspedycji archeologicznej dopiero od sześciu miesięcy — opowiadał Harper. — Lecz znam dobrze sprawy pana Bleibnera.

— Czy może mi pan coś powiedzieć o jego bratanek?

— Nie był antypatyczny... Przyjechał tu pewnego dnia niespodziewanie. Ja go przedtem nigdy nie widziałem, lecz znał go inni, przynajmniej Schneider i Ames. Stary Bleibner nie był zadowolony z wizyty bratanka, słyszeliśmy, jak mu powiedział: „Nie otrzymasz ani centa ode mnie, ani dziś, ani po mojej śmierci. Rozmawiałem dziś długo o tym ze Schneiderem”.

Rupert odjechał do Kairu następnego dnia.

— Czy wyglądał na zdrowego, gdy się pan z nim widział?

— Jeżeli sobie dobrze przypominać skarżył się na jakieś

dolegliwości, ale nie musiała to być sprawa poważna, gdyż byłbym zauważył coś więcej.

— Jeszcze jedno. Czy Bleibner zostawił jakiś testament.

— O ile wiem, nie zostawił — rzekł Harper.

— Czy będzie pan dalej brał udział w ekspedycji?

— O, nie! Może będzie pan śmiać się ze mnie, ale nie mam najmniejszej chęci stać się następną ofiarą przekleśtego faraona Men-her-Ra.

Poirot uśmiechnął się przytomnie: — Proszę nie zapominać, że jedną ze swych ofiar dosięgnął nawet w Nowym Jorku...

— Do diabła! — jęknął Harper...

— Ten młodzieniec jest blisko załamania nerwowego — zauważył detektyw, gdy Harper oddalił się.

Przeglądałem się memu towarzyszy pogrążonemu w zadumie. Nie mogłem nie wyczuć z jego zagadkowego uśmiechu...

Niedługo później sir Michael Willard i doktor Tosswill poszli jeszcze z nami zwiedzić wykopaliska. Młody baronet okazał wielki zapał do tej pracy, lecz nie mógł ukryć zdenerwowania...

W drodze powrotnej, gdy zbliżyliśmy się do namiotu, spojaliśmy ciemnoskórego mężczyznę w białej szacie. Pozdrowił nas po arabsku.

— Pewnie jesteś Hassanem, służącym zmarłego baroneta Johna Willarda? — zapytał Poirot zatrzymując się.

— Służyłem sir Johnowi, a teraz służy u jego syna — powiedział Arab. Potem zbliżył się do nas i powiedział: — Mówiono mi, że pan jest mądrym człowiekiem, i że pan wie, jak się traktuje zle duchy. Dlatego bardzo proszę, niech pan przekona pana Willarda, żeby stał się wyjechał jak najprędzej!

Nie czekając na odpowiedź Hassan oddalił się.

Kolacja była raczej smutna. Doktor Tosswill starał się podtrzymać rozmowę opowiadaniem o zabytkach egipskich. Gdy się już żegnaliśmy, sir Michael schwył nagle detektywa za ramię i pokazał drugą ręką cień, który przesuwał się między namiotami. Krew zastępną

mi w żyłach: to nie była ludzka postać! Rozpoznałem, bez żadnej wątpliwości, głowę psa, którą widziałem wyrytą na ścianach grobowców.

— Mon Dieu! — szepnął Poirot. — To jest Anubis, bóstwo z głową szakala, który zbiera dusze umierających ludzi.

— Wszedł do waszego namiotu, Harper — zauważył sir Michael, śmiertelnie biały.

— Nie — wtrącił Poirot — jest w namiocie lekarza Amesa.

Tosswill spojrzął na detektywa z niedowierzaniem.

— Ktoś chce sobie z nas zakpić! Chodźcie, musimy go złapać!

Tosswill rzucił się na poszukiwanie widma. Ja pobiegłem za nim, lecz nie znaleźliśmy ani śladu tajemniczego zjawiska.

Zawróciliśmy więc i spotkaliśmy Poirot zajętego dziwną pracą: zabezpieczał się przed złymi duchami. Wokoło naszego namiotu kreślił starannie na piasku diagramy, różne znaki kabalistyczne, gwiazdy pięciopięciokątne, pięciokąt. Mój zdziwiający towarzysz zaimprovizował wspaniały pokaz czarów i magii białej i czarnej.

Doktor Tosswill protestował z oburzeniem: — Jaka wulgarna mieszanka! Ten pan nie zna zupełnie różnicy między przesadami średniowiecza, a wierzeniami starożytnego Egiptu. Czegoś podobnego nigdy nie widziałem...

Próbowałem uspokoić zdenerwowanego naukowca, ale mi się nie udało. Pożegnaliśmy się, a ja poszedłem do naszego namiotu, gdzie już siedział Poirot bardzo zadowolony.

— Teraz możemy spać spokojnie — oznajmił.

Wtem ktoś uchylił zasłony namiotu i wszedł Hassan z filiżanką dymiącego rumianku, za którym przepadał Poirot.

Gdy się przebrałem do spania, stanąłem w chwilę przed wejściem do namiotu. Podziwiałem pustynię. — Jaka cisza... — szepnąłem. — Jaki czar pustyni... Czy ty też to odczuwasz, Poirot?

Nie otrzymawszy odpowiedzi odwróciłem się. Poirot leżał na przyści z twarzą okropnie wykrzywioną. Przed nim stała pusta filiżanka. Zbliżyłem się do niego i zrozumiałem, co się stało, pobiegłem do namiotu lekarza Amesa.

— Doktorze, proszę przyjdź natychmiast! — zawolałem. — Mój przyjaciel umiera! To pewnie rumianek! — Trzeba przeskoczyć Hassanowi, żeby nie uciekł z obozu!

Lekarz przybiegł szybko i zbadał dokładnie detektywa.

— Dziwna sprawa — rzekł. — Wygląda to raczej na kolikę... Pan twierdzi, że coś plł...

Mówiąc to Ames wziął do ręki filiżankę.

— Tak, w filiżance był rumianek. Ale pomyślałem, że lepiej tego nie pić — oznajmił spokojny głos.

Spojrzelśmy obaj w tym kierunku. Poirot siedział na łóżku i śmiał się.

— Nie wypilem rumianku, Wlałem płyn do buteleczki, aby poddać go analizie.

Ames wstał i wsunął rękę do kieszeni.

— Nie radzę tego panu — upomniał go szybko detektyw.

— Osoba tak inteligentna powinna rozumieć, że byłoby błędem uciekać się do czynów ostatecznych. Prędko, Hastings, zatrzymaj go!

Lecz ruch lekarza oznaczał co innego. Podniósł rękę do ust i wokół rozszedł się zapach gorzkich migdałów. Prawie równocześnie mężczyzna zachwiał się i upadł bez życia na ziemię.

— Jeszcze jedna ofiara — rzekł poważnie Poirot. — Na szczęście ostatnia. Miał trzech zmarłych na sumieniu.

— Co, doktor Ames? — zapytał zdumiony. — Jak to możliwe? Czyż nie kazalesz mi wierzyć w tajemne siły?

— Nie zrozumiałeś mnie dobrze, Hastings. Mówiłem, że wierzę w straszliwą siłę przesądu. Tu, w obozie, pomogła zbrodniarzowi. Gdy ustaliło się przekonanie, że nastąpiła seria zgonów z przyczyn nadprzyrodzonych, zbrodniarz mógł pozwolić sobie na morderstwa nawet w biały dzień. Miał pewność, że każda śmierć zostanie przypisana magii. Od początku podejrzewałem, że ktoś wykorzystuje to przekonanie, dla swych celów. Ta myśl przyszła mi do głowy po śmierci Johna Willarda, gdy wszyscy zaczęli mówić o klątwie faraona.

Śmierć Willarda nikomu nie przyniosła korzyści. Inaczej z Bleibnerem. Amerykanin był niezwykle bogaty, otrzymałem z Nowego Jorku ciekawe informacje. Jego bratanek Rupert opowiadał, że zna człowieka w Egipcie, od którego mógłby wyciągnąć dużo pieniędzy. Wszyscy sądzili, że chodziło o stryja, ale pomyślałem, że w tym przypadku Rupert wymieniliby go wyraźnie. Chodziło więc o jakiegoś wspólnika. Stary Bleibner nie dał mu ani centa, a jednak młody mógł optać bilet powrotny aż do Nowego Jorku. Kto mu dał pieniądze? Rupert, jeżeli pamiętacie zostawił bilet, w którym napisał: „Jestem trędowaty”. Nikt nie wziął tego poważnie i nie podejrzewano, że popełnił samobójstwo, ponieważ wierzył, że jest chory na trąd.

Był to zreszcie pomysły diabelskiego mózgu. Rupert cierpiał na lekką dolegliwość skórną, nabytą na wyspach południowych, gdzie choroby skóry są rozpowszechnione. Z Amesem znalazł się już dawno i nie wątpił w diagnozę lekarza, który cieszył się opinią poważnego spe-



cialisty. W jakimś momencie swego życia młodzieniec zrobił zapewne testament na korzyść Ames i lekarz postanowił skorzystać z okazji, żeby stać się niezwykle bogatym. Nietrudno mu było zrobić śmiertelny zastrzyk staremu Bleibnerowi. Niedługo potem bratanek przekonany, że jest trędowaty, popełnił samobójstwo. Bleibner nie zrobił testamentu i jego majątek przeszedł automatycznie na bratanka, a z niego na Amesa.

— Jak można wyjaśnić śmierć Schneidera? — zapytałem.

— Trudno powiedzieć. Także i on znał młodego Bleibnera, może miał jakieś podejrzenia. Albo też Ames pomyślał, że jeszcze jedna śmierć mogła zwiększyć psychozę klątwy faraonów. Poza tym zbrodniarz ma zawsze chęć powtórzenia zbrodni. Jeżeli mu łatwo poszło. Dlatego bałem się o młodego Willarda.

— A jak wytłumaczyć widmo Anubisa, którego zobaczyliśmy wieczorem?

— To był Hassan, przebrany na mój rozkaz. Chciałem zobaczyć, czy mi się uda przestra-

żyć Ames. Zorientowałem się, że nie wierzy w moje przekonanie do sił tajemnych, a mała komedia zainscenizowana przeze mnie, nie wciągnęła go. Dlatego sądziłem, że Ames spróbuje zrobić ze mnie następną swą ofiarę...

Rekonstrukcja dokonana przez Poirota sprawdziła się całkowicie. Okazało się, że młody Bleibner kilka lat wcześniej, w momencie podniecenia alkoholowego, zrobił żartobliwy testament, w którym napisał, że „mój drogi przyjaciel Marshall Ames, który mnie uratował od śmierci, gdy tonąłem, zostanie spadkobiercą papierosnicy, która mu się tak podoba i wszystkiego, co będę posiadał w chwili mej śmierci, a przede wszystkim moich długów”.

Sprawę zbrodni starano się zatuszować. Lecz dziś jeszcze ludzie opowiadają o zgonach, które nastąpiły po otwarciu grobowca Men-her-Ra. Przypisują to zemście faraona na tych, którzy ośmielili się naruszyć spójność jego grobu.

A. S.



Lewym
okiem

DNI BEZNARADOWE

„Najpierw długo radzą mędrce, potem kleci się na przedce” — pisał kiedyś nie pamiętam kto, chyba Lec, o niewspółmierności tego, co się gada, z tym, co się robi. Fraszką była wymierzona przeciwko orgii narad i konferencji, którym to tematowi również z tego miejsca poświęciliśmy niejedną uszczypliwą a cierpką uwagę. Narad jest ogromne mnóstwo, mało tego — narad jest od kilku lat coraz więcej. Dyrektorzy departamentów konferują między sobą nieustannie. Dyrektorzy zjednoczeń nie wychodzą z zamkniętych drzwi, przed którymi warty sekretarka. Dyrektorzy zakładów „przyzopywani” są raz tu, raz tam, poza tym poszczególne szczeble nie kontaktują się niemal wcale, naczelnik nie wie o czym mówią dyrektorzy, referent nie wie, co było przedmiotem dwunastogodzinnej niaśnawki naczelników. Aż trudno zrozumieć, jak i gdzie to się wszystko spotyka. A może nie potrzeba, żeby się spotykało?

Już nie wiadomo było co robić. Gdzie iść, gdzie nie iść. Wezwał było zawsze kilka naraz, z różnych źródeł: resortowych, związkowych, społecznych, politycz-

nych, kontrolnych, bankowych i tuzina innych. Kalendarz nie mieścił zapisów, nie było zresztą czasu na pisanie w kalendarzu i na czytanie wgrzymlonych tam notatek. Piosenka (chyba Jurandota) sprzed dwudziestu lat o synu, który nie znał ojca, bo ten siedział na konferencjach, a chłopak rósł — jest dziś bardziej aktualna niż wtedy. Dzieci dyrektorskie nie znają swych ojców, chyba, że z fotografii. Żony rozmawiają z mężami dyrektorami tylko przez telefon, a telefon nie jest najlepszą więzią małżeńską, zwłaszcza że czasem mylnie łączy, czasem przerywa lub włącza kogoś trzeciego.

Wreszcie ogłoszono uchwałę Rady Ministrów, stanowiącą, że kierownicy wysokich szczebli mogą organizować konferencje tylko w konkretnych trzech dniach tygodnia, a kierownicy niższych szczebli — na przykład kierownicy zjednoczeń — tylko w dwóch dniach: w poniedziałki i czwartki. Wprowadzono więc — jak zauważył Radgowski w „Polityce” — obok dni biurowych także dni bezkonferencyjne. Dni na mówienie i dni na całą resztę. Dni ciszy i dni rozmów. Dni na rozjazdy i na siedzenie przy biurku...

Wielkie westchnienie ulgi po ogłoszeniu uchwały nie jest jednak wolne od malutkich, a dokuczliwych wątpliwość. Bo tak:

Narady i konferencje muszą być, w skomplikowanym, a krańcowo scentralizowanym gospodarstwie są nieuniknione i niemożliwe do zastąpienia innymi formami — chyba, żeby rozluźnić nieco tendencje centralistyczne wielu jeszcze ogniw zarządzania. Nie wierzymy, że z tygodnia na tydzień spadnie o połowę ilość narad. Nie, one się tylko — zgodnie z uchwałą — zageszczą do niektórych dni tygodnia. Ci urzędnicy, którzy zapelniają codziennie pociągi jadące do stolicy, mogą co drugi dzień przepelnąć te same pociągi, spowodują też co drugi dzień podwójny szturm na warszawskie hotele, restauracje i lokale różnych kate-

gorii. Zakupy w stołecznych sklepach będą podlegały ruchowi falowemu o amplitudzie dwóch dni. Obserwujemy to przecież podczas targów krajowych w Poznaniu: nie ma takiego handlowca, który by kontraktował jednocześnie śledzie, tapczany i kapelusze, ale fachowcy wszystkich tych branż muszą być jednocześnie w Poznaniu, bo tylko tam i tylko w tym jednym momencie kontraktuje się wszystko. Reszta półroczna to dni bezkontraktowe... No i nie ma gdzie zamieszkać w czasie targów, a zjedzenie normalnego obiadu bywa niemalym problemem.

Dyrektorzy zjednoczeń otrzymali do dyspozycji poniedziałki i czwartki. W te dni wolno im organizować narady, a więc wzywać dyrektorów „z terenu”. Dotychczas unikano się poniedziałków jak ognia. Dyrektor z terenu to też człowiek. Żeby się stawić w zjednoczeniu w poniedziałek, musi wyjechać z domu w niedzielę. Niedziele przestają być jedynym dniem, pozostającym niekiedy do własnego użytku działacza terenowego. Można śmiało założyć, że trzy czwarte niedziel działacze spędzą w pociągach, a hotele w miastach, będących siedzibą zjednoczeń, będą na poniedziałki i czwartki wyprzedane na rok z góry. Pamiętajmy, że w Łodzi funkcjonuje około trzydziestu wielkich zjednoczeń i central, a tylko cztery małe hotele...

Już nawet mniej martwimy się o to, co będzie jeśli w dniu naradowym dyrektor zostanie wezwany jednocześnie przez tych wszystkich, których wezwania rozkładały się dotychczas na cały tydzień. Mniej się tym martwimy, bo może jednak jakieś zamiarkowanie nastąpi? Może na przekór iluzjom ludzkiej inteligencji jedynym sposobem rozwiązywania wszystkich problemów okaże się znowu schematyczny akt normatywny? Przepis! PRZEPIS!!

CWIĘK